ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1 sh

ROK VI. Nr 35 (271)

LONDYN, 31 SIERPNIA 1952 R.

I. M. BOCHEŃSKI, O. P.

O UNIWERSYTECIE*)

NIECH wolno mi się będzie przyznać na początku do wielkiego zażenowania. Jestem ogromnie zażenowany najpierw tym, że przemawiam ze szpulki**), co jest prawdopodobnie szczytem nieprzyzwoitości, a po drugie tym, że muszę mówić o uniwersytecie. Jak Państwo już wiedzą, Platon w „Eutyfronie" udowodnił niezbicie, że fachowcy nie mają pojęcia o tym, co czynią i jako dobry platonik jestem przekonany, że każde dziecko wie lepiej ode mnie, czym jest uniwersytet. No, ale skoro wyższa władza Veritasu żąda tego, ośmielam się sformułować kilka myśli, które mi się, choć jestem fachowcem, na temat tego fachu nasunęły.

Proszę, aby Państwo zechcieli zrozumieć, że nie chodzi tutaj o jakieś programowe, wyczerpujące omówienie tego olbrzymiego splotu zagadnień, jakie uniwersytet nasuwa, z katolickiego punktu widzenia i że mogę ofiarować Państwu tylko kilka luźnych refleksji. Rzecz moja będzie się składała z dwóch części głównych. W pierwszej części będę mówił o misji bezpośredniej uniwersytetu, a w drugiej o tym, co z niej wynika.

I.

TYTUŁEM wstępu do tych refleksji powiem, że zajmuję stanowisko tomistyczne. Rozumiem przez to w tej sprawie bardzo daleko posunięty sceptycyzm w stosunku do wszelkich rzekomo ponadludzkich abstrakcji, w rodzaju na przykład „Nauki" przez duże N i temu podobnych, jeżeli wolno mi się wyrazić, mitów. Mianowicie, że słowa te mogą wprawdzie mieć dobry sens, ale pod warunkiem, że się ich nie będzie pisało wielką literą i jeżeli się zrozumie, że chodzi zawsze w ich znaczeniu o konkretnego, pojedynczego człowieka.

Nie jestem więc skłonny, na tym stanowisku stojąc, uznać jakiegokolwiek kultu nauki przez wielkie N, ani uniwersytetu, owego fałszywego bóstwa, nazywać świątynią. Wydaje mi się, że uniwersytet żadną świątynią nie jest, a po prostu szkołą. Przez szkołę zaś rozumiem instytucję, w której ludzie się czegoś uczą.

Ale nie wybiegajmy zanadto naprzód. Zanim przejdziemy do określenia ściślejszego uniwersytetu wśród innych zakładów i instytucji wychowawczych, dobrze będzie przypomnieć sobie starą i dobrą klasyfikację cnót u św. Tomasza. Mówię cnót, bo cnota znaczy w jego języku tyle, co sprawność, tj. pewna aktywna dyspozycja, umożliwiająca człowiekowi, który ją posiada, sprawne i intensywne, słowem dobre wykonywanie tych czy innych czynów. W ten sposób pojmując cnoty, łatwo zauważyć, że wszelkie wychowanie ma na celu kształcenie cnót i nic innego. Dlatego od schematu cnót zacząć nam wypada.

Otóż, proszę Państwa, św. Tomasz odróżnia dwie wielkie grupy cnót: cnoty moralne i cnoty intelektualne. Nowsi filozofowie co prawda większy kładą nacisk na inne jeszcze rozróżnienia i będą mówili o sprawnościach religijnych, etycznych i innych jeszcze... To dla naszego zagadnienia nieważne. Ważne jest tylko to, że uniwersytet ma całkiem oczywiście na celu kształtowanie nie cnót moralnych, ale właśnie intelektualnych. Powiem za chwilę, że choć faktycznie, poprzez swoją rolę nauczycielską, wychowuje także pewne cnoty moralne, ma na celu wprost i przede wszystkim kształtowanie intelektu.

Istnieją pod tym względem pewne, dość groźne nieporozumienia. Nie brak takich, którzy z uniwersytetu chcieliby zrobić pensjonat albo jeszcze pobożniejszą parafię. Pomysł zaiste piękny. Szkoda tylko, że grozi on zarzuceniem istotnej i pierwszej funkcji uniwersytetu, tj. funkcji nauczycielskiej. Bo do wychowania męstwa jest np. wojsko, dla pielęgnowania cnót religijnych mamy klasztory i kościoły. Ale jeżeli uniwersytet przestanie kształtować na najwyższym szczeblu cnoty intelektualne, to prawdopodobnie trzeba będzie się zapytać, kto go zastąpi. Może by więc dobrze było dać spokój owym moralizatorskim tendencjom i próbom przerobienia uniwersytetu w pensjonacik dla grzecznych panien. To jest pierwsza teza, którą ośmieliłbym się Państwu poddać pod rozwagę. Szewc powinien pilnować kopyta, a uniwersytet wiedzy.

Jeżeli zgodzimy się, że przedmiotem uniwersytetu i jego zadaniem jest kształcenie cnót intelektualnych, zachodzi pytanie, jakich cnót? Tych cnót jest bowiem według św. Tomasza pięć. Mądrość, której przedmiotem jest pogląd na świat. Inteligencja odnosząca się do pojmowania zasad. Nauka — sprawność teoretycznego rozumowania w danej dziedzinie. Sztuka, którą byśmy dziś nazwali sprawnością techniczną. Wreszcie roztropność, cnota pół moralna, pół intelektualna, pozwalająca temu, który ją posiada, stosować sprawnie zasady życiowe w życiu.

Jeżeli pozwolimy sobie nudzić Państwa wyliczeniem tej litanii, to nie bez powodu. Wiemy mianowicie, że niektórzy tak wysoce sobie uniwersytet cenią, że radzi by z niego uczynić wychowawcę wszystkich cnót intelektualnych. I tak, niejeden filozof prorokuje z katedry światopogląd, tworząc go lub przynajmniej myśląc, że go tworzy. Wielu sądzi, że uniwersytet to siedziba inteligencji. Inni jeszcze radzi by z niego zrobić szkołę techniczną, zawodową, w której młodzież uczy się owego sprytu niezbędnego przy obróbce żelaza, czy ludzi. Sprytu, który nazywamy techniką. Wreszcie mamy podtrzymujących nieporozumienie, trwające tu i owdzie od 40-tu przeszło wieków, co to rządy społeczeństwem najchętniej powierzyliby uczonym, ludziom uniwersyteckim. Co do mnie wszystkie te poglądy między bajki kładę.

Uniwersytet nie jest stolicą mądrości. Nie jest twórcą mądrości nadprzyrodzonej, tj. wiary i daru mądrości, pochodzącej wprost od Boga. Nawet straż nad nią nie do uniwersytetu, ale do Kościoła należy. Także i mądrości doczesnej nie tworzą profesorowie, ale myśliciele, wodzowie, wielcy przywódcy społeczni, mężowie stanu. Dodajmy, że zwykła matka-Polka ma jej zazwyczaj więcej od najbardziej wykształconego męża nauki. Uniwersytet nie ma także za zadanie tworzenia inteligencji. Jakkolwiek przyczynia się do jej rozwoju, inteligent a człowiek inteligentny, to, jeżeli się nie mylę, nie całkowicie to samo. Wreszcie uniwersytet nie jest zawodówką, bez względu na owe uniwersytety, które moskiewskie ciemnogrody obecnie w Polsce tworzą na trupie prawdziwego uniwersytetu. A praktyka wykazuje dobitnie, że nie potrzeba mieć uniwersyteckiego wykształcenia, aby być roztropnym. Niemało wybitnych polityków umiało wprawdzie czytać i pisać, ale niewiele więcej.

Którą więc z cnót intelektualnych wychowuje uniwersytet. Tę oczywiście, której nie wymieniliśmy: naukę. Uniwersytet jest siedzibą i szkołą nauki w tomistycznym tego słowa znaczeniu. A więc tej sprawności, tej cnoty, dzięki której posiadający ją człowiek umie sprawnie obracać się w tych teoretycznych dziedzinach, gdzie rozumowanie jest potrzebne. Jeżeli Państwo koniecznie chcą nazywać go świątynią, to uniwersytet będzie świątynią rozumu. Mówię rozumu, nie inteligencji i nie mądrości, a więc władzy, za pomocą której wyprowadzamy wnioski, porządkujemy, rozumujemy. Rozum jest jego dziedziną, a wszystkie nauki, wszystko, czego się rozum jąć może, z natury do niego należy. **Nihil rationalis ab eo alienum esse puto.**

Do tego ostatniego twierdzenia wypada, tak mi się przynajmniej zdaje, przywiązywać pewną wagę. Uniwersytet nie jest siedzibą innych cnót intelektualnych, a tym mniej moralnych. Natomiast jeżeli o naukę chodzi, nie ma i nie powinno być niczego, co by nie podpadało pod jego kompetencję i to wyłączną kompetencję, proszę Państwa. Inne szkoły podają wiedzę przez uniwersytet wykutą. Zawody techniczne stosują chwyty techniczne na jego teorii oparte. Nie ma w ogóle w ludzkim społeczeństwie nikogo i niczego, co by mogło w tej dziedzinie z uniwersytetem konkurować, tym mniej dyktować mu prawa. Obejmuje on całokształt nauki i jest w tej dziedzinie suwerenny. Nie można nawet sobie wyobrazić nadrzędnej naukowej instytucji. Kościół i państwo mogą co prawda zabiegać, aby uniwersytet należycie spełniał swoje zadanie. Mogą stawiać mu postulaty i granice tam, gdzie jego działalność dotyka innych dziedzin, mądrości na przykład, albo techniki. Jednak w dziedzinie nauki uniwersytet jest — powtarzam — suwerenny.

Wielkie to słowo, Państwo powiedzą, i wypadałoby je uzasadnić. Takim uzasadnieniem chętnie służę, choć w skrócie, bo rzecz wydaje mi się z naszego punktu widzenia dość ważna. Odrzucamy, jak powiadam, wszystkie fantazje o kulcie nauki i nasze uzasadnienie postulatu suwerenności, jego praw, musi być inne. Co do mnie sądzę, że on te prawa posiada i z katolickiego punktu widzenia. Ma prawo do istnienia i rozwijania się swobodnie dlatego, że: 1) wiedza jest czymś, czego człowiek z natury pożąda; 2) dlatego, że poznanie rozumowe w miarę możliwości prawd wiary i świata wydaje się być obowiązkiem człowieka; 3) dlatego, że przynajmniej niektóre działy nauki stanowią nieodzowną podstawę techniki, a technika wydaje się być także naszym obowiązkiem; 4) wreszcie dlatego, że uprawianie nauki jest wysoką szkołą niektórych, nieodzownych człowiekowi, cnót moralnych.

Niech wolno mi się będzie zająć tymi racjami bytu nauki, a więc i uniwersytetu. Bowiem, jeżeli uniwersytet ma naukę za zadanie, sens nauki jest zarazem jego sensem. Człowiek więc, w przeciwieństwie do zwierząt, pragnie rozumieć. Chrześcijaństwo nie zniosło i nie mogło znieść tego naturalnego pragnienia, bo jak uczy św. Augustyn, łaska natury nie znosi, ale ją podnosi. Dlatego każda próba odmówienia człowiekowi prawa do rozumienia jest pomniejszeniem ludzkiej istoty. Próby takich zakazów występowały i występują nieraz i u nas i poza Kościołem. Św. Damian np. mówił podobno, że logika, główne narzędzie nauki, jest dziełem szatana. Najmniejszy namysł nad tajemnicą Trójcy Św. jest stratą cennego czasu. Niejeden dzisiejszy egzystencjalista myśli zresztą podobnie. To jednak stoi w sprzeczności z oczywistymi faktami o naturze ludzkiej. Jest, moim zdaniem, rodzajem manicheizmu, z pogwałceniem tej natury.

Lepsze zrozumienie świata na naszą miarę i według biednych naszych możliwości wydaje się po wtóre nie tylko potrzebą ludzkiej natury, ale i naszym obowiązkiem. Ja przynajmniej nie mogę nigdy zrozumieć tych chrześcijan, którzy zabraniają namysłu nad wiarą, tj. naukowej czyli teoretycznej teologii. Według nich Bóg objawił niektóre szczegóły swego wewnętrznego życia po to zapewne, abyśmy dogmatów nauczyli się na pamięć i nigdy o nich nie myśleli. Rozum jest, ich zdaniem, wyłączony, chyba z wiary Bożej. Stanowisko takie, proszę Państwa, jest, aby się uprzejmie wyrazić, jakimś dzikim niepozumieniem. Stoi ono w sprzeczności z czymś, czego nam, katolikom, lekceważyć nie wolno: z tradycją, wielką tradycją i świętą tradycją Atanazych, Hilarych, Ambrożych, Augustynów i Tomaszów. Nie jest to teoria możliwa do przyjęcia. Ze stanowiska katolickiego winna istnieć teologia. Jest ona obowiązkiem ludzkości. Winna istnieć także nauka prowadząca do przyrodzonego zrozumienia świata. Nie mogę sobie inaczej wytłumaczyć, w jakim celu jego niezmierzone piękno, nieskończona złożoność zostały stworzone, jeżeli nie po to, aby być przez wolne duchy poznane i w modlitwie odniesione do Boga. Z tej płaszczyzny nauka jest wzniosłą funkcją ludzkości. Uniwersytet, który jej służy, pełni misję naprawdę religijną, pełni ją nawet wtedy, a może zwłaszcza wtedy, gdy nie zamienia się w pobożną kapliczkę, ale trwa przy swoim zadaniu, przez uprawianie nauki.

Trzecim powodem uzasadniającym prawa uniwersytetu z naszego stanowiska jest rola niektórych nauk, jako fundamentu techniki. My, chrześcijanie dwudziestego wieku, mamy, tak się przynajmniej wydaje, lepszy wgląd w pełny sens niektórych części Pisma świętego, Księgi Rodzaju np. i w rolę pracy nad opanowaniem przyrody. Wiemy, że pozwala ulżyć niejednemu cierpieniu. Wiemy także, że świat ma m. i. głównie ten sens: stać się coraz bardziej narzędziem ducha w jego drodze do Boga. Technika sprowadzała na świat i jeszcze sprowadza wiele zła, ale to zło z jego istoty nie wynika. Technika jest postulowana, nie zakazana przez nasz pogląd na świat. I dlatego rozwijać się powinna nauka, która ją umożliwia.

Wreszcie nawet gdyby nauka nie była tym wszystkim: zaspokojeniem naturalnego pędu ducha ludzkiego, obowiązkiem i narzędziem opanowania świata, wypadałoby nam ją jeszcze uprawiać, choćby dlatego, że pielęgnowanie nauki jest wysoką szkołą niektórych cech charakteru. Duch naukowy, to duch obiektywizmu, zapomnienia o sobie, zatopienia się w prawdzie, przez co jest tak bliski zasadniczej postawy chrześcijańskiej i taką potrzebą w naszych czasach wybujałego subiektywizmu. Duch naukowy, to duch rzetelnego wysiłku woli, żmudnej i drobiazgowej pracy, to duch krytyczny, nie ulegający tak silnie na nas działającej presji uczuć. Duch naukowy, to duch pokory. Bo nikt tak dobrze jak naukowiec nie wie, że wie tak mało. Naprawdę, nawet gdyby nauki były skądinąd niepotrzebne, dla samych względów moralnych trzeba by stworzyć uniwersytet i uprawiać na nim naukę. Uniwersytet reprezentuje w społeczeństwie wielkie i ważne wartości moralne przez naukę. Są i inne tytuły do istnienia i wolności, ale ten jeden wystarczyłby, aby jego prawa uzasadnić.

Zadajmy sobie teraz pytanie, w jaki sposób uniwersytet to swoje zadanie spełnia? Odpowiedź jest powszechnie znana. Przez badanie i uczenie. Badanie, twórczość naukowa, jest z tomistycznego punktu widzenia także rodzajem wychowania. Uczony bowiem, który odkrywa fakty albo tworzy nowe teorie, podnosi sam siebie, wychowuje się w pewnym tego słowa znaczeniu intelektualnie. Dlaczego takie badanie jest potrzebne? Dlatego, że człowiek według nauki tomizmu jest jedynym stworzeniem postępowym w świecie, na skutek przedziwnego połączenia w nim ducha z materią. Pojęcie nauki raz na zawsze zdobytej i w żaden sposób nie rozwijającej się jest sprzeczne z tym pojęciem człowieka. Pielęgnować naukę znaczy nie tylko podawać zdobytą już wiedzę, to przede wszystkim tworzyć nową. W ten tylko sposób zresztą może człowiek zaspakajać swój nieskończony głód wiedzy. Badanie jest tedy pierwszym obowiązkiem uniwersytetu.

Drugim jego obowiązkiem jest uczenie. Tradycyjnie powierzane są te dwie funkcje tym samym ludziom, przynajmniej z reguły. I tak jest dobrze z dwóch względów. Najpierw dlatego, że wykład badacza będzie zawsze bardziej brał, niż lekcja zwykłego przekazywacza nabytej przez innych wiedzy. Następnie dlatego, że nauka jest przede wszystkim metodą, a tej metody może uczyć ten tylko, który ją czynnie stosuje. Tutaj nasuwa się jednak jeden z najtrudniejszych problemów współczesnego uniwersytetu. Teoretycznie obstaje on przy tym, przynajmniej u nas w Europie, aby uczyć nauki czystej; w praktyce coraz bardziej przemienia się w szkołę zawodową, ucząc techniki, nie nauki. W Stanach Zjednoczonych doszło podobno do tego, że nauka schroniła się nieraz do instytutów badawczych nie związanych z nauczaniem, podczas gdy uniwersytety stają się szkołami zawodowymi. Pytanie, czy tak jest dobrze, czy też, przeciwnie, tendencja współczesna nie jest zgubna, stanowi jeden z głównych przedmiotów dyskusji o uniwersytecie.

Jeżeli wolno wypowiedzieć mój pogląd na tę sprawę, zauważyłbym, że wypada tutaj, jak zawsze, wystrzegać się skrajności. Wspomniałem powyżej, że jedną z racji bytu nauki jest to, że stanowi ona podstawę techniki. Jeżeli więc w jakimś dziale techniki potrzeba wiele wiedzy naukowej na najwyższym poziomie, a nie samej techniki w jednej dziedzinie, to trudno potępiać uczenie tej techniki na uniwersytecie. Mówię o technice w najszerszym znaczeniu, nie wyłączając ani techniki duszpasterza, ani techniki nauczyciela czy sędziego.

Skądinąd jednak byłoby źle, gdyby zapomniano o innych racjach istnienia uniwersytetu — o nauce, jako zrozumieniu Boga i świata. Powie mi kto, że te dwie rzeczy z trudnością dadzą się pogodzić; ale pogodzić je musimy pod groźbą okaleczenia naszej kultury. Czołowy niemiecki filozof współczesny, prof. Karol Jaspers, a za nim wielu innych, np. prof. A. Dyroff, sugerują coś, co nazwałbym uwarstwowieniem uniwersytetu. Zawierałby on jądro poświęcone czystej nauce; u nas katolików to jądro obejmowałoby teologię teoretyczną (podkreślam, że nie szkolenie praktyczne duszpasterzy, ale teologię teoretyczną), humanistykę i nauki przyrodnicze. Około tego jądra skupiałby się wydział praktyczny, a więc teologii praktycznej i kształcącej księży, prawa, kształcącego sędziów i adwokatów, medycyny dla lekarzy, inżynierii dla techników, szkoła pedagogiczna dla wychowawców, handlowa dla handlowców itd. Nie wiem, czy ten pomysł jest jedynym rozwiązaniem trudności. Wydaje mi się jednak, że coś w tym rodzaju należałoby uczynić. Być może nawet trzeba będzie nam wrócić do średniowiecznej koncepcji **Facultatis Artium**, stanowiącej wspólny, teoretyczny, czysto naukowy wstęp do wszystkich wydziałów praktycznych. Koncepcja ta wydaje się wskazana także ze względu na syntezę, o której jeszcze wspomnieć wypadnie. Tyle, proszę Państwa, o właściwej misji uniwersytetu, o jego przedmiocie specyficznym, tj. o nauce.

II.

WSPOMNIAŁEM już, że nieporozumieniem jest powierzać uniwersytetowi kształcenie mądrości i innych cnót intelektualnych poza nauką. Z tego jednak nie wynika, aby uniwersytet nie spełniał także w stosunku do tych innych sprawności intelektualnych pewnych zadań pośrednio, a mianowicie zadania wynikającego z jego zadania głównego lub z nim związanych. Przeciwnie, wydaje mi się, że zadania te w rzeczy samej uniwersytet posiada i spełniać powinien.

Zaczynam od mądrości. Ściśle mówiąc, mądrość ma za przedmiot sam tylko pogląd na świat, a więc najogólniejsze prawdy i wartości kierujące życiem jako całością. Któż jednak nie wie, że mądrość tak pojęta potrzebuje uzupełnienia, w tym sensie mianowicie, że człowiek pragnie całość tego, co wie i co czyni, możliwie i najściślej podporządkować ogólnym zasadom mądrości, którą wyznaje. Otóż podporządkowanie takie jest niczym innym, jak budowaniem systemu aksjomatycznego mającego w idealnym wypadku objąć wszystkie zdania uznane przez człowieka za trafne. Uniwersytet zatem ma pewne obowiązki wobec mądrości, bo system aksjomatyczny jest zawsze dziełem rozumu, nauki, a więc pod-

(Dokończenie na str. 2)

*) **Odczyt wygłoszony na XVII Week-ndzie Dyskusyjnym P.K.S.U. Veritas w Londynie w dniu 19 kwietnia 1952 r.**

) **Drogą retransmisji ze stilo.

XXII KONGRES ŚWIATOWY „PAX ROMANA" OBRADUJE NAD MISJĄ UNIWERSYTETU

W dniach od 25 sierpnia do 1 września 1952 r. obraduje XXII Kongres Światowy „Pax Romana" — Międzynarodowego Ruchu Studentów Katolików i Międzynarodowego Katolickiego Ruchu Intelektualistów.

Otwarcie Kongresu i początkowe obrady toczyły się w Montrealu, poczem Kongres kolejno zbierze się w Quebec, Ottawie i Toronto. Poza obradami uczestnicy Kongresu wezmą udział w licznych manifestacjach religijnych, kulturalnych i naukowych, m. i. w obchodzie stulecia uniwersytetu **Laval**.

Przedmiotem Kongresu jest zagadnienie „Misji uniwersytetu". Tematy ważniejszych wykładów są następujące: Początek i rozwój historyczny uniwersytetu; Sympozjum na temat typów istniejących uniwersytetów; Uniwersytet i społeczeństwo; Uniwersytet i państwo; Uniwersytet i społeczność międzynarodowa; Uniwersytet i Kościół; Uniwersytet i kształtowanie osobowości intelektualnej; Uniwersytet i szukanie prawdy. Referaty wygłoszą wybitni uczeni katoliccy.

Do „Pax Romana" należą obecnie 82 zrzeszenia studenckie oraz 46 zrzeszeń seniorów ze stopniami uniwersyteckimi. Polskę reprezentuje w „Pax Romana" Polskie Katolickie Stowarzyszenie Studentów „Veritas" oraz jego Seniorzy.

W Kongresie w Kanadzie udział wezmą jako delegaci PKSU „Veritas" studenci polscy z kół w Montrealu i Toronto a z ramienia Zarządu Centralnego asystent kościelny „Veritasu", ks. kan. Tadeusz Kirschke.

Jako wkład intelektualny oraz materiały do dyskusji PKSU „Veritas" przygotowało na Kongres 7 drukowanych broszur w językach angielskim i francuskim na następujące tematy: „O uniwersytecie" (o. I. M. Bocheński, O. P.), „Kulturalna rola uniwersytetu" (ks. prof. W. Meysztowicz), „Kształcenie osobowości intelektualnej przez uniwersytet" (ks. prof. P. Siwek, S. J.), „Specjalizacja" (dr T. Felsztyn), „Uniwersytety polskie w systemie komunistycznym" (prof. T. Sulimirski), „Uniwersytet katolicki w Lublinie" (inż. A. W. Gac), „Polskie zakłady uniwersyteckie na wygnaniu" (prof. T. Sulimirski).

ŻYCIE, będące pismem polskich intelektualistów katolickich, pragnie „Misji uniwersytetu" poświęcić w ciągu najbliższych tygodni kilka artykułów. Otwiera je artykuł o. I. M. Bocheńskiego, wygłoszony na jednym z week-endów dyskusyjnych PKSU „Veritas" w Londynie, dostosowany przez Autora do druku. Tekst angielski tego wykładu znajdzie się na Kongresie „Pax Romana" w formie broszury.

Ponadto ŻYCIE zamieści pracę prof. Alfonsa Bronarskiego p. t. „Misja i kryzys uniwersytetu" oraz sprawozdanie z obrad Kongresu.

Powita też z radością powrót ks. kanonika Tadeusza Kirschke, tak mocno związanego z życiem intelektualnym katolików polskich w Londynie i Wielkiej Brytanii.

O UNIWERSYTECIE

(Dokończenie ze str. 1)

pada pod przedmiot uniwersytetu. Zadanie to nazywa się zadaniem syntezy.

Raczą mi Państwo wybaczyć, że o owej sławetnej syntezie, o której się dziś tyle rozprawia, będę mówił z pewną irytacją. Jest to **déformation professionelle** logika, który nie lubi, aby o jego dziedzinie opowiadano głupstwa, ale niestety słyszy ich tyle, że głowa czasem mu puchnie. Nie mogę wchodzić w szczegóły, bo to by nas za daleko zaprowadziło. Wymienię tylko kilka prawd, które koniecznie do intelektualnego zbawienia w tej sprawie znać potrzeba — to jest, aby uniknąć nagrubszych nieporozumień.

Prawda 1. Wyrażenie „nauka" jest wyrażeniem wieloznacznym i znaczy przynajmniej trzy różne rzeczy, choć posiadające pewne cechy wspólne. Mamy więc nauki teologiczne, starające się pogłębić rozumienie wiary, nauki, które nazwiemy „eidetycznymi", usiłujące zrozumieć świat przyrodzonymi środkami, wreszcie nauki, które nazwę „pragmatycznymi", mające na celu opanowanie świata. Te nauki są w zasadzie różne. Pokutują ciągle jeszcze myśli o jakimś idealnym systemie aksjomatycznym, w którym wszystko, czego wszystkie te nauki uczą, byłoby pięknie wydedukowane z jednego założenia. Ale myśli te, przepraszam Państwa za wyrażenie, są marzeniem ściętej i to w dodatku nieinteligentnej głowy, są wynikiem niezrozumienia stanowiska nauki takiej, jaką ona dziś jest, niezrozumienia przepaści, która dzieli teologię od nauk przyrodniczych i niemożności wprowadzenia przesłanek teologicznych do nauk przyrodniczych, a nawet przesłanek nauk eidetycznych do nauk czysto pragmatycznych, które do prawdy w ogóle nie pretendują. Naprawdę, proszę Państwa, takiej syntezy nie było, nie ma i nigdy nie będzie i trzeba by wreszcie tych marzeń dać spokój.

Prawda 2. Istnieje obecnie, jeżeli się nie mylę, około trzydziestu tysięcy czasopism ściśle naukowych, przeważnie kwartalników, ale nieraz bardziej częstotliwych. Co z tego bezpośrednio wynika? Państwo się prawdopodobnie domyślają. Powiem tylko dla ilustracji, że w logice matematycznej, młodej i maleńkiej jeszcze nauce w porównaniu z mechaniką, a nawet z krystalografią, myślimy obecnie poważnie nad stworzeniem specjalnego pisma dla wulgaryzacji naukowych zdobyczy tej nauki wśród nas samych. Jest bowiem tak, że już nikt spośród nas, logików, wyników tej skromnej i młodej nauki opanować nie potrafi. Wniosek: pomysł jakiegoś nowego Alberta Wielkiego, który by wszystko wiedział, co się w naukach mówi i wszystko jakoś w swojej głowie poszufladkował, jest niewykonalny. Nawiasem mówiąc, Albert Wielki też wszystkiego nie wiedział, co wówczas wiedziano w naukach.

Nie tylko więc syntezy w znaczeniu systemu aksjomatycznego, w którym by wszystko było wydedukowane z jednej zasady, nie ma i nie będzie, ale nie ma nawet możności połączenia całej wiedzy w jednym umyśle. Może szkoda, ale naprawdę trzeba sobie zdać sprawę, że tak już jest. Michał Archanioł święty zdolny jest zapewne do takiego wyczynu, my nie. Synteza, proszę Państwa, nie jest zatem możliwa ani w pierwszym, ani w drugim z wymienionych znaczeń, ani jako system aksjomatyczny, ani jako owo ześrodkowanie w myśli jednego myśliciela. Powiedzmy, innymi słowy, że nie jest możliwa, przynajmniej pełna, synteza od góry, przez jednego człowieka, który całość nauki objął i uporządkował. To się na prawdę nie da zrobić.

Z tego jednak nie wynika, by nie była możliwa innego rodzaju synteza. Myślę oczywiście, że może jest najpierw pewna częściowa synteza od góry. A następnie ta, co nazwałbym pewną syntezą od dołu.

Zacznijmy od tej syntezy od góry. Wymienię tutaj postulat, który, choć sam syntezą nie jest, warunkuje wszelką pracę syntetyczną, mianowicie postulat uniwersalności. Sformułowałem go już słowami: **Nihil rationalis ab universitate alienum esse puto.** Minimum, którego od uniwersytetu żądać mamy prawo, to ten uniwersalizm: aby badał wszystko, czego rozum się w teorii imać może i wszystkiego tego uczył. Ten postulat jest niestety z różnych stron gwałcony. Jedni ograniczają uniwersytet w zasadzie do nauk technicznych, pragmatycznych, jak je nazwałem. Inni radzi by wyrzucić z niego te właśnie nauki a razem z nimi nieraz i teologię, ograniczając jego pole działania do zrozumienia świata. Najzabawniejsze jest przy tym, że niektórzy katolicy, ba, niektórzy katoliccy profesorowie teologii, tego rodzaju pomysły czasami głoszą. Między niekatolikami, a pod ich wpływem także u nas, szerzy się niezrozumienie rozumowego, więc naukowego charakteru teologii. Ten błąd, dość zresztą grubiański, zawdzięczamy, my Polacy, naszym kochanym wieszczom, nieznośnym sentymentalistom i fideistom, którzy to wiarę gwałtem chcieli wepchnąć w dziedzinę uczucia. Czas byłoby naprawdę z tych nieporozumień się otrząsnąć. Uniwersytet — to jest zasadniczy postulat — powinien być uniwersalny, powinien uczyć wszystkich nauk.

Przechodząc teraz do syntezy właściwej, powiem, że ćwierć wieku temu w Szkole Wiedeńskiej powstał pomysł tzw. Einheitswissenschaft, nauki jednolitej. Był on co prawda obarczony szeregiem nieporozumień, ale zawierał przecież zdrową treść, a mianowicie przekonanie, że wszystkie nauki opierać się powinny na tej samej logice. Na tym jednym punkcie istnieje w samej rzeczy coś, co ogrom współczesnej nauki przecież łączy. Tym czymś jest logika. Co prawda uparte trwanie przy owych Barbara, Celarent... doprowadziło do tego, że naukowiec stracił całkowicie zaufanie do logiki. Dziś jednak, chwała Bogu, mamy logikę lepszą. I nadszedł czas, aby stała się ośrodkiem i pomostem łączącym wszystkie nauki, jeżeli wolno się tak wyrazić, od wewnątrz i od góry. Nie ona jednak sama, nie ona sama jedynie może to uczynić. Nauka współczesna posiada jakiś dziwny pęd do epistemologii, do podbudowywania swoich poczynań rozważaniami nad teoretycznym znaczeniem tych wysiłków, nad ich „portée", jak mówią Francuzi. W niektórych dziedzinach, np. w samej logice matematycznej, rozważania takie weszły w sferę samej nauki do tego stopnia, że bardzo trudno dziś logikę opracować nie uwzględniając epistemologii. Być więc może, że epistemologia, jakiegoś nowego oczywiście typu, mogłaby stanowić drugą więź między naukami. Wymieniam te dwa punkty tylko tytułem przykładu, gdyż zapewne możliwości podobnych jest więcej.

Wreszcie istnieje w naukach szereg cech bardziej zewnętrznych, a jednak wspólnych wszystkim. Mam na myśli z jednej strony wspólnego ducha nauki, z drugiej pewne koncepcje dotyczące sensu życiowego i roli społecznej nauki. Wydaje mi się, że dzisiejsze wołania o syntezę te rzeczy przede wszystkim mają na celu. Chodziłoby więc o to, ażeby wszystkim naukom nadać wspólną podstawę w tym względzie. Raz jeszcze, chodziłoby o rodzaj syntezy od góry: te nowe podstawy i twierdzenia musiałyby być wypracowane centralnie dla całego uniwersytetu.

Zanim jednak powiem coś o syntezie tej pracy, wypada wspomnieć o syntezie od dołu. Rozumiem przez to świadome wbudowanie danej nauki w jakiś ogólny schemat, a przynajmniej znalezienie miejsca dla tej nauki w ogólnym schemacie, nie przez filozofa lub teologa, ogarniającego całość wiedzy współczesnej, bo to jest niemożliwe, ale przez specjalistę. Oczywiście, nie trzeba sobie wyobrażać, aby włączenie każdej nauki mogło być dokonane w ten sam sposób. Aby wrócić do logiki matematycznej, nikt nie potrafi uczynić jej przecież chrześcijańską w ten sam sposób, w jakim chrześcijańską może i powinna być np. pedagogika. Każda grupa nauk, nieraz każda poszczególna nauka, musi być włączona w ogólny schemat na swój odrębny sposób. Dlatego też taka synteza, którą nazywam syntezą od dołu, może dokonać się tylko wysiłkiem samych specjalistów, nie jakichś uniwersalistycznych myślicieli.

Jakie są warunki udania się podobnego przedsięwzięcia? Zauważmy najprzód, że, aczkolwiek praca budowania syntezy jest wysiłkiem rozumu, a więc nauki, zakłada ona mądrość, to jest pogląd na świat. Gdzie nie ma jednolitej mądrości, nie będzie i nie może być syntezy. Stąd nasz postulat katolickiego uniwersytetu. Uniwersytet katolicki, to nie jest uniwersytet rządzony przez przewielebnego księdza prałata, ani też uniwersytet, w którym teologia odgrywa przytłaczającą rolę. To uniwersytet, w którym wszyscy albo prawie wszyscy profesorowie są myślicielami katolickimi. A podkreślam raz jeszcze, że być katolikiem na uniwersytecie nie polega na tym, aby mówić różaniec i pilnie chodzić na nabożeństwa pierwszego piątku miesiąca, choć to są ćwiczenia zbożne i pożyteczne. Nie polega bynajmniej także na uprawianiu apologetyki. Być katolikiem na uniwersytecie, znaczy to myśleć po katolicku, zakładać katolicką mądrość. Niech mi wolno będzie wspomnieć, że uniwersytet, do którego mam zaszczyt należeć, Państwowy Uniwersytet katolickiego kantonu Fryburga, po długim szukaniu drogi zdaje się obecnie znajdować swoje katolickie oblicze. Nie rządzą nim prałaci. Jeżeli jestem w tym roku dziekanem, to po prostu dlatego, że przyszła na mnie kolej demokratyczna. Na 150 wykładowców księży mamy tylko 20, apologetyki uprawiamy bardzo mało. Ale na wydziałach świeckich, mam przede wszystkim na względzie prawo i nauki pedagogiczne, wre praca nad stworzeniem owej syntezy od dołu, nad włączaniem przez każdego specjalistę jego dziedziny w katolicki schemat ogólny.

Oczywiście, aby się to udało, specjaliści muszą znać mądrość, co więcej, wypada, aby znali więcej, aniżeli swoją nagą wiarę, aby posiadali jakieś przynajmniej wykształcenie teologiczne. Trzeba też, aby posiadali dość dobrą orientację filozoficzną, nie wspominając już o logice i epistemologii. Trudno dobrze kłaść fundamenty wiedzy prawnej, a tym bardziej pedagogiki, bez pogłębionej znajomości etyki. Koniecznym jest też, aby wszyscy znaleźli coś, co można by nazwać naukoznawstwem, ogólną filozoficzną teorią nauki, jej roli i funkcji społecznej, logiki, ducha itp. W Polsce przed wojną zaczęliśmy tę naukę lepiej może od innych tworzyć. Trudno nie wspomnieć z goryczą, że w chwili, w której Państwo moje słowa słyszeć będą, to, co pozostało z tych wysiłków, dogorywa w Warszawie pod ciosami moskiewskich prymitywów. Jeden powód więcej, abyśmy nie ustępowali w pracy.

Z tego wszystkiego jeden wniosek ogólny wygląda tak, jak gdyby trzeba było powrócić do koncepcji **Facultatis Artium**, owego wydziału ogólnego, w którym wszyscy studenci innych wydziałów, a przede wszystkim przyszli profesorowie uczyli się elementów teologii, filozofii, logiki, naukoznawstwa itp. przedmiotów. Nie widzę, jak bez tej reformy dalibyśmy sobie radę z zagadnieniem syntezy. A syntezę tworzyć trzeba. Poszliśmy w uniwersytecie niewątpliwie za daleko w kierunku specjalizacji; nauki są dziś rozproszkowane. Wyszło nam to może na zdrowie, bo pozbyliśmy się złudzenia co do możliwości pewnych za bardzo ambitnych syntez. Ale czas dziś powrócić do bardziej syntetycznych myśli. Jest rzeczą pierwszorzędnej wagi, abyśmy my, katolicy, dzisiaj, w okresie ogólnego pędu ku syntezie mieli takie jasne przesłanki i rozpracowane stanowisko.

Poza syntezą do uniwersytetu należy w stosunku do mądrości inne porządkujące zadanie. Mamy na myśli pewne funkcje obronne. Oczywiście nie w znaczeniu apologetyki, która jest funkcją specjalną, różną od zadań uniwersytetu, jako takiego. Chodzi raczej o to, że uniwersytet, reprezentując naukę, może i powinien, jako taki, przeciwdziałać pewnym naiwnym a niebezpiecznym dla wiary maluczkich nieporozumieniom. W pierwszym rzędzie scjentyzmowi, owej płytkiej filozofii, która głosi, że istnieje jakiś naukowy pogląd na świat i usiłuje zastąpić wiarę przez hipotetyczny zbiór wyników naukowych z dodatkiem nieprzemyślanych też panteistycznych. Widzieliśmy z przyjemnością na ostatnim zebraniu docentów szwajcarskich uniwersytetów trzech mówców, z których żaden nie jest katolikiem, a co najmniej dwóch do chrześcijaństwa zupełnie się nie przyznaje, z wielką energię podkreślających tę właśnie rolę uniwersytetu.

Niech mi wolno będzie dodać jeszcze, że funkcje te uniwersytet spełni tym lepiej, im będzie bardziej wierny swojej naukowej misji, im mniej będzie u jego przedstawicieli tendencji apologetycznych. Raz jeszcze pragnę stwierdzić, że wartości, które uniwersytet może dać, zależą przede wszystkim od tego, aby był sobą, siedzibą nauki.

A skoro o apologetyce mowa, uniwersytet przyczynić się może do obrony wiary w duszach ludzi nie uczonych także po prostu przez to, że jego poważni przedstawiciele do tej wiary się przyznają. Jak olbrzymie wrażenie wywołuje to w umysłach, mogłem to stwierdzić także we Francji, gdzie myśliciele miary prof. Lavelle'a albo fizyk o sławie prof. de Broglie, a więc ludzie, którzy naukę uprawiali zawsze w duchu św. Tomasza, bez wciągania jej w orbitę jakichkolwiek przesłanek religijnych, wywarli i wywierają przez swoją postawę katolicką silny wpływ. Ale rozumiem, że Państwa zanudzą ustawiczne powtarzania. Jeżeli społeczeństwo chce mieć tę pomoc ze strony uniwersytetu, wypada, by zrozumiało, że otrzyma ją za cenę tylko utrzymania wolności bycia sobą, służenia wprost i wyłącznie nauce.

Mówiłem, proszę Państwa, o roli głównej uniwersytetu i jego stosunku do mądrości. Chciałbym dodać jeszcze na zakończenie parę słów o tym, jak oddziałać on może na inną cnotę intelektualną, na roztropność, a zarazem na życie społeczne, którego kierownictwo od roztropności politycznej, a więc szczytowej zależy. Roztropność, to nie nauka. Jak powiedziałem, powierzanie profesorom jako takim funkcji kierowniczych w społeczeństwie jest nieporozumieniem. Może się oczywiście zdarzyć, że profesor jest także politykiem, ale to oczywiście z uniwersytetem jako uniwersytetem nie ma nic wspólnego.

Mam przyjaciela szewca, który jest niezłym filatelistą, z czego nie wyciągałbym wniosku, że szewcom należy powierzać ocenę znaczków pocztowych. Niemniej, proszę Państwa, zadania uniwersytetu zazębiają się o roztropność polityczną, a to nawet na dwa sposoby. Najpierw roztropność w akcie, czy sumienie jest według św. Tomasza sylogizmem, w którym występują zawsze pewne ogólne przesłanki. Te przesłanki będą z reguły zawierać zdania wzięte z mądrości, a obok nich bardzo często — zawsze w sprawach bardziej skomplikowanych — będą to zdania ogólne, pochodzące także z nauki. Innymi słowy, nauka dostarcza roztropności części jej materiału, części jej przesłanek. Otóż, jeżeli tak jest, wydaje się być rzeczą samą przez się zrozumiałą, że polityk, działacz społeczny itd. będzie się naukowca radził. Nie chciałbym być źle zrozumianym. Nie może być mowy o tym, by uniwersytet miał być rozstrzygającym czynnikiem politycznym czy społecznym. Niemniej powinien być jednym z czynników oddziaływujących na te sprawy.

Funkcja doradcza, wspomaganie mężów stanu, kierowników Kościoła, państwa, wielu organizacji społecznych itd. jest więc czymś, co, jeżeli się nie mylę, do myśli uniwersytetu w związku z jego istotą należy. Poszedłbym w tym kierunku tak daleko, że uważałbym wprowadzenie odpowiednich klauzul do konstytucji za rzecz w najważniejszym stopniu pożądaną. To jest jedyna droga, poprzez którą uniwersytet wpływa i powinien wpływać na sprawy polityczne i społeczne. Jest jednak inna, mniej istotna teoretycznie, ale przecież praktycznie znacznie bardziej ważka.

Nadto złożyło się tak, że mało które inne dziedziny posiadają swoje zakłady wychowawcze najwyższego szczebla. Nauka posiada je od średnich wieków.

Rola nauki (wraz z tym, co ją wiąże z mądrością, roztropnością i techniką) jest tak cenna dla nas, że domagamy się studiów uniwersyteckich od wszystkich niemal mających zająć wyższe stanowiska w społeczeństwie. W tym znaczeniu **de facto**, choć to wcale do jego istoty nie należy, uniwersytet jest w obecnej sytuacji jedyną instytucją wychowującą w ostatniej i jakże ważnej fazie tzw. przywódców społecznych.

Muszę przyznać, że ten fakt sprawiał mi zawsze naprawdę wiele kłopotu i nie bardzo wiem, aby być szczerym, co z nim zrobić. Bo, proszę Państwa, uniwersytet jest w swojej istocie instytucją naukową, a więc, powtarzam, zorientowaną na cnotę intelektualną, podczas gdy wychowanie powinno być przede wszystkim wychowaniem moralnym. Wprawdzie starałem się tu wykazać, że uniwersytet szkoli także pośrednio pewne cnoty moralne, ale nikt chyba nie uzna tego zespołu cnót, który on poprzez wykształcenie ducha naukowego może wychować, za wystarczające dla pełnego człowieka. Brak na przykład w tym zespole tak ważnych cnót, jak miłość bliźniego, uczciwość ściśle pojęta itd. Otóż ten na naukę nastawiony uniwersytet znajduje się obecnie w tym położeniu, że musi wychowywać ludzi i to ludzi społecznie bardzo ważnych, bo inteligencję. Jak może on temu zadaniu podołać? Powiedzmy sobie otwarcie, że, jak dotychczas, z tym zagadnieniem uniwersytet sobie rady dać nie może i podejrzewam, że łatwo jej sobie nie da. Mam, co do mnie, tylko jedną sugestię w tej sprawie. Wydaje mi się, że można by wprowadzić na uniwersytecie rodzaj nauczania zasad etyki. Jest to tu i ówdzie już zrealizowane. Tak np. na różnych wydziałach medycznych wykłada się deontologię. Nauczanie podobne mogłoby być połączone z owym wydziałem wstępnym. Jego celem byłoby uświadomienie studenta o roli społecznej inteligencji nie jako naukowca, ale jako człowieka przygotowującego się do zajęcia odpowiedzialnego stanowiska społecznego.

Oczywiście nawet pełne przeprowadzenie tego programu nie rozwiązałoby tego zagadnienia, bo aby wychowywać, nie wystarczy uczyć. Inne środki są potrzebne. Wydaje mi się, że konieczne byłoby stworzenie przy uniwersytecie jakichś instytucji wychowawczych, czegoś w rodzaju kolegiów średniowiecznych, które istnieją podobno na niektórych uniwersytetach angielskich, kolegiów, w których zupełnie bezpośrednio byliby wychowywani ludzie. Mówię wyraźnie, p r z y uniwersytecie, nie n a uniwersytecie. Uniwersytet, tak jak go pojmuję, powinien pozostać tym, czym jest, czym ma być: szkołą nauki. To oczywiście nie wyłącza możliwości pociągania do pracy wychowawczej w owych kolegiach i niektórych profesorów, szczególnie do takiej pracy uzdolnionych. Niektórych, nie wszystkich. Nie można wymagać, nawet jest nonsensem wymagać, aby profesor jako taki był wychowawcą cnót moralnych. Zadanie jego jest, po raz nie wiem który to powtarzam, nauka, nauka, jeszcze raz nauka.

* * *

Czas już kończyć. Proszę Państwa, oczyma wyobraźni widzę oburzenie, jako moje refleksje o uniwersytecie w Państwu wywołują. Spodziewaliście się Państwo czegoś zupełnie innego — podkreślenia roli pedagogicznej, religijnej i moralnej uniwersytetu, podczas gdy ja mówiłem prawie cały czas o nauce. Obstawałem przy twierdzeniu, że nauka jest zadaniem uniwersytetu. A wszystko, co nauką nie jest, obchodzić go może co najwyżej pośrednio. Może wolno mi będzie zdradzić w zakończeniu, dlaczego z takim uporem — Państwo powiedzą: z uporem godnym lepszej sprawy — bronię tej tezy.

Powodów mam dwa. Z jednej strony wydaje mi się, że mimo pozornej paradoksalności tego twierdzenia, że nauka jest dziś zagrożona, najpierw przez jednostronne hołdowanie technice, a także przez tendencje moralizatorskie, które bodaj niewiele różnią się od hołdowania tej technokracji. Prawi się dziś wiele o społecznej roli uniwersytetu, ale ma się na myśli bezpośrednie jego zużytkowanie do celów praktycznych, czytaj: technicznych. Wydało mi się, że przeciw tym tendencjom należy uniwersytetu bronić, przypomnieć, że jeżeli jest on pożyteczny, to przede wszystkim dlatego, że pielęgnuje wielki składnik kultury zwany nauką. Drugi powód jest może głębszy. Mniemam, że do istoty naszej kultury, kultury zachodnio-europejskiej, należy pluralizm, podział funkcji między wielość względnie niezależnych instytucji. My, zachodni Europejczycy, nie wiążemy wszystkiego w ściśle scentralizowaną całość „po planu". Wysnuliśmy z dziejowego naszego doświadczenia wniosek, że niezależność Kościoła od państwa i państwa od Kościoła w ich właściwych dziedzinach, sztuki od polityki itd., jest rzeczą dobrą.

W dzisiejszych czasach, gdy te właśnie koncepcje wolności i autonomii są tak bardzo zagrożone, wydało mi się, że bardziej, niż kiedykolwiek, nacisk powinniśmy kłaść w naszych instytucjach na to, co stanowi specyficzną rolę, której w danej dziedzinie nikomu i niczemu nie wolno podporządkować. Być może, że ta myśl stanowi ośrodek moich refleksji, których Państwo byli tak łaskawi z podziwu godną cierpliwością, wysłuchać.

I. M. Bocheński O. P.

MIESIĄC INWALIDY

W czasie od 15 sierpnia do 17 września br. odbędzie się zbiórka na pomoc inwalidom Polskich Sił Zbrojnych, którzy pozostali na Zachodzie, organizowana przez Związek Inwalidów Wojennych PSZ (100, Netherwood Rd., London, W. 14).

W związku z „Miesiącem Inwalidy" przywódcy polskiego życia politycznego na emigracji wydali szereg odezw, z których przytaczamy apel gen. broni, Józefa Hallera.

„Nie ma zakątka ziemi na świecie, w który by nie wsiąkła krew polska i gdzie by się nie bił żołnierz polski o prawo swego Narodu do niepodległego bytu. Gdy po drugiej wojnie światowej Polska niepodległości nie uzyskała, część byłych żołnierzy pozostała poza Krajem, a wśród niej znalazł się duży procent inwalidów wojennych. Ci byli żołnierze są w najcięższej sytuacji materialnej i społeczeństwo musi się nimi zaopiekować.

Wierzę, że wszyscy z nas w miarę swych możliwości materialnych poprą akcję jedynej organizacji inwalidzkiej, zajmującej się całokształtem opieki nad inwalidami, Związku Inwalidów Wojennych Polskich Sił Zbrojnych, w ramach Miesiąca Inwalidy, składając ofiary i zapisując się na członków wspierających Związku.

J. HALLER
generał broni

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Katolicki Uniwersytet w Lublinie. W ubiegłym roku szkolnym na Katolickim Uniwersytecie w Lublinie studiowało 3.509 osób, w tym 232 księży i 20 zakonnic. Na wydziale teologii i prawa kanonicznego było 125 osób, na filozofii chrześcijańskiej 833. W obecnych warunkach w Polsce studiowanie na uniwersytecie w Lublinie wymaga olbrzymiej odwagi moralnej, niepohamowanego popędu do wiedzy i wielkiego wysiłku fizycznego. W ciągu miesięcy letnich rzesze studentów muszą ciężko pracować fizycznie, ażeby zaoszczędzić choćby najskromniejsze fundusze na dalsze studia; trzeba też nieraz szukać dodatkowych zajęć w miesiącach zimowych.

Kto ma prawo organizować pielgrzymki? „Osservatore Romano" przypomina dekret św. Kongregacji Koncylium z 11 lutego 1936 r. w sprawie pielgrzymek. Celem pielgrzymek jest pokuta, wyznanie i wzmocnienie wiary, szczególnie zaś podziękowanie za otrzymane łaski. Wobec tego dekret postanawia, że „pobożne pielgrzymki powinny mieć zawsze charakter rzeczywiście religijny, powinny być urządzane i prowadzone jako praktyka pobożności chrześcijańskiej i wyraźnie odróżnione od podróży przedsiębranych wyłącznie dla przyjemności. Cokolwiek więc się nie nadaje do wyżej wymienionego celu pobożnego i religijnego, powinno być absolutnie zabronione i powinno się także unikać tego wszystkiego, co może kazałoby domyślać się, że takie pielgrzymki, aczkolwiek pod pozorem praktyki religijnej, mają jednak głównie na celu rozrywkę i zabawę." Z tego powodu prawo organizowania i prowadzenia pielgrzymek należy wyłącznie do właściwej władzy kościelnej. W Rzymie, na przykład, kardynał wikariusz ustanowił zależny od siebie Rzymski Komitet Pielgrzymek.

Wobec braku mieszkań. W obecnych czasach daje się bardzo odczuwać w wielu krajach brak mieszkań. Państwa lub organizacje starają się w różny sposób temu zaradzić. Unia katolicka rolników niemieckich w Kolonii postanowiła zbudować osadę w Holstein lub Niersachen. W tym celu rozesłano 30 tysięcy listów z prośbą o pomoc i w odpowiedzi otrzymano 40 tys. marek niemieckich.

„Od stworzenia do ery atomowej". Pod takim tytułem ukazała się w języku francuskim praca ks. G. Remy'ego, członka francuskiego Stowarzyszenia Astronomicznego i francuskiego Stowarzyszenia Mikroskopii. Celem książki jest wykazanie prawdziwości zasady Galileusza z jego listu do arcyksiężnej toskańskiej, Krystyny: „Nie może być sprzeczności między Pismem Świętym a naukami przyrodniczymi, ponieważ od Słowa Bożego pochodzi nie tylko Pismo Święte, ale także przyroda". Pierwsze dwie części książki, mówiące o ziemi we wszechświecie i o człowieku na ziemi, omawiają obecny stan wiedzy o zagadnieniach naukowych pasjonujących zawsze ludzkość.

700-lecie śmierci pierwszego nuncjusza na Dalekim Wschodzie. Po klęsce pod Legnicą i niedoszłej krucjacie przeciw ludom mongolskim z winy Fryderyka II Innocenty IV wysłał do wielkiego chana franciszkanina, Giovanni da Pian del Carpine. Wysłannik papieża wyruszył z Lionu w dzień Wielkanocy 16. 4. 1245 r. i przez Litwę, Ural, Turkiestan i Mandżurię dotarł do Karakorum 22 lipca 1246 r. „Jesteśmy wysłannikiem papieża, który jest panem i ojcem chrześcijaństwa — mówił pierwszy nuncjusz na Dalekim Wschodzie. — Wysłał nas do królów, książąt, ludów tatarskich, ponieważ pragnie, ażeby chrześcijanie mieli z nimi pokój i przyjaźń. Zaprasza ich za naszym pośrednictwem i swoim listem, ażeby zostali chrześcijanami i przyjęli wiarę naszego Pana Jezusa Chrystusa, bez której nie mogą być zbawieni. Wyraża swe zdumienie z powodu masakry jego chrześcijan, w szczególności Węgrów, Morawian, Polaków. Bóg jest ciężko obrażany przez takie czyny i dlatego papież wzywa Tatarów do powstrzymania się w przyszłości od podobnych budzących grozę czynów." Misja zakończyła się niepowodzeniem, a Giovanni de Pian del Carpine powrócił w listopadzie 1247 r. do Lionu. Mianowany arcybiskupem Antivari w Dalmacji umarł, przeżywszy około 70 lat, w sierpniu 1252 r.

Religia a demokracja. Przemawiając na ogólnokrajowym zjeździe amerykańskich kapelanów wojskowych kardynał Franciszek Spellman powiedział, że „rola religii w systemie demokratycznym jest zupełnie jasna i wynika ze znaczenia demokracji. Zasadniczą funkcją demokracji jako najlepszej formy rządów jest troska o godność człowieka i niezniszczalne prawa jednostki, wypływające z prawa naturalnego. Strażniczką tego prawa, pochodzącego od Boga, jest religia."

ZOFIA KOSSAK

„W I D Z Ę G O !”

(Fragment powieści p.t. „Zdobywca”)

Z dachu domu można było jeszcze dojrzeć odjeżdżających posłów. Balaam, syn Beora, spoglądał za nimi, niepewny, czy odprawiając ich z niczym, źle albo dobrze postąpił. Chyba dobrze, gdyż ominęła go uciążliwa podróż na południe. Sławy miał dość, złota dość, nie potrzebował liczyć się z zaufaniem moabskiego króla. Z pewnością dobrze postąpił. Uspokojony wyciągnął się na posłaniu w cieniu rzucanym przez poręcz.

Gdyby Balaam, słynny wieszczek i zaklinacz, umiał być całkowicie szczerym względem kogokolwiek, w tym wypadku względem siebie, wyznałby, iż nie tylko obawa przed upałem panującym w dusznej dolinie Jordanu spowodowała odmowę. Imię plemienia zagrażającego ziemiom kanaanskim, pamiętane z dawnych czasów, budziło w nim przykre wspomnienia. Imię to brzmiące: Izrael, przed czterdziestu kilku laty było na ustach wszystkich uczonych i kapłanów. Od Teb aż po Harran, od wybrzeży Wielkiego Morza aż po Elam mówiono o dziwnych i tajemniczych zdarzeniach, zdolnych — gdyby były prawdą — zachwiać całym światem. Toteż kapłani tłumili te wieści, a imienia przywódcy izraelskiego, które to imię, Moseh, znaczyło „Wyłowiony z wody”, nie wolno było wymawiać. Balaam w tym czasie stracił sen i chęć do jadła. Rozumiał, że jeżeli opowieści są prawdziwe, on jest człowiekiem, który nie dochował wiary, roztrwonił skarb powierzony. Możliwość spotkania z Mosehem napełniała go przerażeniem. Lecz wrzawa ucichła równie nagle jak wybuchła. Opuściwszy Egipt, wódz i jego plemię weszli w pustynię, gdzie słuch o nich zaginął. Nie doszła stamtąd żadna wieść, jak gdyby Izraela pochłonęła ziemia. Życie toczyło się zwykłą koleją, obfitującą w wojny, rabunki, powstania nowych dynastii, upadki dynastii dawnych, powodzie, susze, głody lub pomór na bydło. Nikt nie pamiętał zdarzeń zaszłych przed czterdziestu kilku laty, a oto Izrael pojawiał się znowu. Snać silny i groźny, skoro król Moabu, Balak, syn Sefora, żądał natarczywie pomocy. O, jak dobrze, że Balaam go nie posłuchał! Wprawdzie Moseh dawno musiał umrzeć; już wówczas był bardzo wiekowy, niemniej wieszczek z Pethor nie miał najmniejszej ochoty spotykać się z jego ludem.

. . . .

A jednak miał się z nim zetknąć. Król Balak przysłał powtórne poselstwo. Przybyło tak rychło po pierwszym, jakby posłańcy lecieli na skrzydłach. Tym razem nie byli to poważni rówieśnicy Balaama, lecz młodzi książęta królewskiej krwi: Setur, syn Recema Madianity i Efraim, syn Fadasura z Jerycho. Przywiedli ze sobą wielbłądy z lektyką, a twarze ich zdradzały wyraźnie, że nie zamierzają powracać bez wróża.

— Pan nasz, Balak, syn Sefora, — zaczął swą rzecz Setur — kazał powtórzyć ci, panie, te słowa: Nie odmawiaj mi, Balaamie, synu Beora, gdyż krew nasza spadnie na głowę twoją. Jeżeli nie przybędziesz w porę z mocnymi przekleństwami, zginie ta kraina i zatraci się pamięć jej. Izrael wygładzi wszystkich, którzy w granicach naszych mieszkają, jak zwykł wół trawę aż do korzenia wyjadać. Przyjedź a złorzecz temu ludowi, albowiem jest mocniejszy ode mnie. Wiem iż błogosławion będzie, komu ty błogosławisz, a przeklęty, na którego złorzeczenia zgromadzisz. Nie ociągaj się z przyjazdem. Uczczę cię i cokolwiek zechcesz, dam ci! Złota i srebra wedle obfitości, bo o całą krainę rzecz idzie...

— Zali Izrael tak pilno nastaje? — zapytał Balaam nie okazując, że ostatnie słowa posła zrobiły na nim wrażenie. Wieszczek nie pogardzał złotem.

— Nie gnalibyśmy, słudzy twoi, bez popasu, gdyby czas nie naglił — zapewnił Setur z przejęciem. — Jeszcze pora deszczowa trwała, kiedy to plemię wyszło z oazy Kades na pustyni. Nie ubezpieczał się nikt, sądząc, że uderzą na Negeb. Oni jednak skręcili na wschód i wezwali Edom, by dał im swobodne przejście. Odmówił Edom, przeto go znieśli i stanęli u granic Sehona Amorejczyka. Rzekli do Sehona: Nie zstąpimy na twoje pola i winnice, nie będziemy pić wody ze studzien, pójdziemy drogą królewską przez państwo twoje, aż dojdziemy do ziemi, do której dojść musimy, albowiem Bóg, Pan nasz, obiecał ją ojcom naszym. Odmówił Sehon lękając się, iż obietnicy nie dotrzymają i z wielkim wojskiem zabieżał im drogę koło Jasa. Lecz Izrael poraził go ostrzem miecza i zajął wszystek kraj Sehona od potoku Arnon do potoku Jabok. Zajął też mocny gród Hesebon i wszystkie wsie króla amorejskiego...

— Kto ich wodzem? — zapytał Balaam.

— Jozue, syn Nuny.

— Mów dalej — rzekł wieszczek uspokojony.

— Z ziemi Amorejczyka zawrócił Izrael ku ziemi Basan. Zastąpił im drogę król Ogu wraz ze wszystkim ludem swoim i wydał im bitwę pod Edraj. Biada krainie Basan! Porażon jest Ogu, jak porażon był Sehon. Poległ on i syny jego, Izrael zaś posiadł ziemię. Zniósł Madianitów (tu mówiący poczerwieniał i zacisnął pięści), stanął u granic Moabu. Moab drży i drży Kanaan, gdyż żaden z królów nie uczynił tylu podbojów w tak krótkim czasie. Wspomaga ten lud Bóg ich bardzo mocny i zazdrosny, o którym powiadają, że wszystko do Niego należy, że jest Panem każdej duszy żyjącej bez względu na granice. Nie pozwala zaprzęgać do pługa osła z wołem, nie chce narodu po społu z narodem, ani sam nie chce być po społu z innymi bogami... Zdobywszy gród, pyta Izrael, czy są tu posągi bogów i czy oddają im cześć przez spółkowanie mężów z niewiastami albo przez ofiary z dziatek... Jakoż powiedzieć, że nie? Wszędy są, stoją posągi w świątyniach i ofiary i obrzędy są czynione... Tedy Izrael ogłasza gród „herem”, co po naszemu oznacza wyklęty i nie żywi zeń nikogo, prócz małych dzieci, a domy, wszelkie bogactwo i zbiory i zapasy puszcza z dymem. Niczego nie tknie, lecz pali. Kto by z nich bodaj drobinę złota dla siebie wziął albo szatę, albo naczynie czy siodło, śmiercią jest karany... Czego ogień nie strawi, burzą i równają z ziemią, tak że nie ma śladu grodu... Pojmujesz teraz, czcigodny Balaamie, czemu Balak, syn Sefora, żąda, byś się nie ociągał?

— Nie znam jeszcze woli bogów — westchnął Balaam chcąc zyskać na czasie.

— Kiedy bogowie raczą ci objawić swoją wolę? — zapytał Efraim. Głos brzmiał żartobliwie mimo pozorów szacunku.

Balaam dotknięty przybrał wyraz namaszczonej powagi:

— Nie mnie, nędznemu słudze, wyrokować, kiedy bogowie przemówią — odparł. — Ośmielam się jednak spodziewać, że uczynią to dzisiejszej nocy. Jutro powtórzę wam, czego ode mnie żądają...

— Oby ich wola okazała się łaskawa dla nas! Wiedz, Balaamie, iż słudzy twoi nie dopuszczą, by po obu stronach pustyni mówiono, że wielki prorok z Pethor, światło tej krainy, zląkł się Boga pustynnych pastuchów...

— Nie dbam o mowy ludzkie, lękam się jedynie bogów mojego narodu — odparł dostojnie Balaam i odesłał uciążliwych gości na spoczynek. Sam ułożył się wygodnie na swym posłaniu na dachu, pił wino zmieszane z wodą, które niewolnik Abgar przygotował u wezgłowia i rozmyślał nad tym, co usłyszał. — Izrael... Izrael... Miano, które znaczy: „Bóg jest mocny”. — To ci sami, co wówczas, ci sami. Nie zmienili się ani na włos. Ten sam Bóg potężny i mściwy... Głupi Sehon. Gdyby zawierzył słowom Izraela, nie tknęliby jego państwa... Im trzeba wierzyć... Mają jedno słowo... Tacy sami byli wówczas... Tego żądał od nich Moseh, o którym mówiono, że z Bogiem swym twarzą w twarz rozmawiał... Czyż są istotnie bogowie inni, niż posągi z kamienia lub gliny? Prawdziwi bogowie? Balaam zbyt długo żył, by mógł w to uwierzyć. Kiedyś, gdy był młodym, tak! Wierzył i słuchał Moseha. Jakże to było dawno! Więcej niźli kopę lat... Od tego czasu wieloletnie doświadczenie pouczyło Balaama, że światem rządzą Siła i Rozum, nic więcej. Gdyby istniał Bóg prawdziwy, winien, jak w Egipcie, mieć postać szakala albo hieny, gdyż innego ludzie nie są warci...

...Cóż powinien teraz uczynić, on, Balaam? Do podróży miał coraz mniej chęci, mimo pokusy sowitej nagrody. „Dam ci wszystko, co zażądasz” przekazał Balak... Królowie nie zwykli mówić na wiatr... Więc jechać? Spotkać się z Izraelem? Nie! Nie! Posłowie gotowi porwać go siłą. Czyż Efraim nie rzekł wyraźnie: „Słudzy twoi nie dopuszczą...” Nie dopuszczą! Balaam, gdyby mógł, rzuciłby chętnie czary na zuchwałego młokosa.

. . . .

— Bogowie kazali mi spełnić wolę króla Moabu, Balaka — oznajmił Balaam nazajutrz rano. Młodzi książęta skłonili się nisko.

— Spodziewaliśmy się, że tak a nie inaczej postąpią — zauważył Efraim. — Ty, Balaamie, nie dbasz o majętność, ale bogowie lubią, gdy złoto i srebro przypadają ich sługom...

— Wielbłądy z lektyką już stoją przed domem — przerwał pojednawczo Setur.

. . . .

Pochód szedł składnie. Przodem jechali posłowie. Za wielbłądami dreptała luzem Sahar, stara oślica Balaama. Za oślicą szły dwa wielbłądy niosąc lektykę, w której bujał się wygodnie wieszczek. Za lektyką na osłach zdążali dwaj słudzy Balaama, Abgar i Jona. Posuwali się szybko, korzystając z cienia, jaki dawały rosnące w pobliżu rzeki białodrzewy, wierzby i dęby. Wielka woda wiosenna dawno spłynęła ujawniając liczne brody. Skorzystali z tego, by przejechać na prawy, zachodni brzeg, na wielki gościniec, biegnący z Damaszku do miast południowych, dopiero pod Adom wrócili na wschodnią stronę. Na postojach Balaam wypytywał młodych o wszystko, co dotyczyło Izraela, państw przez to plemię podbitych i państw zagrożonych. Potem przez długie godziny jazdy układał zasłyszane wiadomości w swej mądrej głowie, porównywał je ze sobą i rozważał. Chwilami cmokał z zadowoleniem wargami. Poczynało dlań być jasnym, że potęga Izraela jest wynikiem nie jakichś mocy tajemniczych, lecz słabości przeciwników.

Kanaańczycy i Amorejczycy dzielili się na liczne plemiona, z których każde tworzyło osobne królestwo. Do tej ciżby należało dołączyć Hewejczyków, Hetyjczyków, Jebuzejczyków oraz szczątki pradawnych szczepów Refaim i Enacim, gnieżdżących się w górach. Wszystko wzajemnie sobie wrogie. W każdym grodzie siedzi król skłócony ze wszystkimi sąsiadami, rad gdy nieprzyjaciel ich gnębi. Jakoż mogą się ostać? Kanaańskie grody, choć opasane murami po siedem i osiem łokci grubości, nie obstaną. Plemię izraelskie składa się podobno z dwunastu szczepów zwarcie działających niby jeden mąż, jeden miecz... Łatwo przewidzieć, komu przypadnie zwycięstwo... Jeżeli jemu, Balaamowi, uda się rozbudzi niezgodę wśród wrogów, swoich zaś nakłonić do jednomyślnego działania, losy wojny się odwrócą, a nowa sława okryje proroka z Pethor. Śmieszne były jego ociągania przedwyjazdowe, wstydził się ku nim myślami nawracać.

Zadowolony Balaam upewniał dalej Balaama, że Bóg, o jakim mówił Moseh, istnieć w ogóle nie mógł. Człowiek oczami ducha nie zobaczy, uszy człowieka mowy ducha nie posłyszą. Porozumieć się mogą tylko ciało z ciałem, duch z duchem. Gdyby Bóg Moseha miał ciało, nie byłby Bogiem. Jeśli ciała nie miał, Moseh nie mógł Go widzieć. Wszystko, co Balaam dał sobie wmówić w młodości, wszystko, co opowiadano później o cudach egipskich, należało do baśni, jakie ludzie mądrzy układają, by tym pewniej trzymać łatwowiernych w garści... To jasne...

...Niezgoda obraża siłę, siła opuszcza niezgodnych... Ufam, iż zdołam skłócić Izraela... Co więcej zrobię, by mu krwi upuścić? Cudzołóstwem się brzydzą, surowego obyczaju, który im Moseh nałożył, strzegą... Córki Madianu słyną z miłosnej umiejętności i ochoty do rozpusty... Powiadają, że nagie, opasane wstęgami leżą przy drodze wołając przechodniów, a natrząsają się z tej, której wstęgi nie były przerwane kilka razy w ciągu dnia. ...Powiem Seturowi, by dziewki madianickie posłano gromadnie nocą do obozu izraelskiego... Obaczym, jaki wyjdzie chleb z tego zaczynu... Twarde prawo Moseha — pancerz Izraela. Dłonie rozpustne zdejmą zeń tę zbroję...

Poddając się sennie bujaniu lektyki, Balaam pomyślał, że wszystko złoto Balaka nie opłaci dostatecznie rady spłodzonej przez mędrca.

. . . .

Gdy zbliżyli się do celu, mając przed sobą góry Abarim, po prawej ręce Jordan, za Jordanem ciemną zieleń gajów palmowych ciągnących się aż do Jerycha, Balaam kazał zatrzymać wielbłądy i podać sobie oślicę.

— Seturze, synu Recema, Efraimie, synu Fadassura, — rzekł — jedźcie przodem do króla Balaka z takim posłowiem: Balaam z Pethor, którego wzywałeś, nadciąga tuż za nami. Ze szczytu wieży możesz go ujrzeć jadącego samotnie na oślicy i rozmawiającego z bogami, których prosi o radę i siłę, by pokonać Izraela.

— Bogowie nie wysłuchają ciebie, gdy siedzisz w lektyce, Balaamie? — zapytał Efraim.

Wieszczek nie raczył odpowiedzieć.

— Jedźcie, — powtórzył — mówiąc to, com rzekł.

— Nie lękasz się, sługo bogów, że jadącego samotnie demony izraelskie napadną? Przecie straże Izraela są tuż za tymi górami...

— Nie lękam się — zapewnił z pychą Balaam.

Książęta odjechali zabierając ze sobą wielbłądy. Gdy wzniecony przez nich pył opadł, Balaam dosiadł swej oślicy. W przewidywaniu bliskiego końca podróży Abgar pomalował ją w pasy ciemno-czerwone, pięknie odbijające się od jasnopopielatej sierści. Sahor była stara, prawie dwudziestoletnia, ale wytrwała, posłuszna i pewna. Abgar i Jona usiedli przy swych osłach na skraju drogi, by podążyć za panem dopiero, gdy odjedzie on dalej, niż doleci głos. Tak nakazywał Balaam, dbały o wpojenie sługom przekonania, że w samotności rozmawia z bogami i otrzymuje od nich odpowiedzi.

Rozdrażnienie Balaama wywołane nieobyczajnymi pytaniami Efraima minęło i prorok z przyjemnością przeciągał kości zmęczone siedzeniem w lektyce. Droga była równa, wymoszczona pyłem, słonce zniżało się ku zachodowi, upał dokuczający przez cały dzień osłabł, przedwieczorny wiatr zachodni rzeźwił przyjemnie powietrze.

...Jeżeli Balak zna imiona plemion izraelskich, — rozważał Balaam — snadno poróżnię je między sobą. Wywyższę jedno a poniżę drugie... To sposób niezawodny... Co ci jest Sahor? — zapytał klepiąc oślicę po szyi, bo zwierzę szło jak spętane.

...Pewno podbita albo kamień ma w kopycie... Ci głupcy nigdy nie dopatrzą, jak należy...— Obejrzał się w tył. Słudzy jeszcze nie ruszyli, zeszedł więc z siodła i sam sprawdził nogi zwierzęcia. Małe, wklęsłe kopyta o ostrym brzegu, nie znające poślizgnięcia, były utrzymane starannie a nawet świeżo uczernione przez Abgara tłuszczem wymieszanym z sadzą.

— Nic ci nie jest — rzekł Balaam zły, gdyż powalał sobie ręce i by nauczyć zwierzę rozumu, nim dosiadł oślicy z powrotem, ułamał tęgiego pręta.

...Król moabski może żądać, bym przeklinał zaraz... Powiem mu wtedy, że bogowie naznaczyli pierwszy dzień nowego księżyca jako sposobny... Zyskam przez to tydzień czasu... Mąż rozumny, jakim jestem, może wiele zdziałać przez tydzień... Rad bym nakłonił Balaka do przejścia za Jordan i wspólnej obrony Jerycha... — Sahor! — krzyknął gniewnie, gdyż oślica w międzyczasie zeszła z drogi na kamieniste pole. Ciął ją prętem, uderzył piętą. Wróciła na gościniec niechętnie, chrapiąc i bocząc się, jakby szła przez pobojowisko albo czuła lwa w pobliżu. — Głupie bydlę! Lew nie siedziałby na drodze między winnicami... — Mądre myśli Balaama pierzchły. Musiał bowiem całą uwagę poświęcić oślicy. Poganiał ją prętem, nogami, głosem, nie pojmując przyczyny widocznego przerażenia zwierzęcia.

— Wartaś być psem a nie osłem! — przyganiał ulubienicy. — Warta, by cię przez ogień pędzono, założono w krzywe jarzmo! Czego się boisz, kiedy ja, twój pan, jestem z tobą!? Na drodze nie ma nic.

Istotnie na drodze nic nie ma, tylko pył leży i cienie się dłużą. Wiatr ustał, cisza zaległa wokoło. Nie pluszcze woda w potoku, nie zaszeleści liść na drzewie... Świat przyczaił się, jak koźlę zagrożone przez lamparta. Lamparta? Ani lampart, ani lew. Nie demon, Balaamie, nie demon. Ktoś stokroć władniejszy, niż demon. Szalony i slepy człowiek, co tego nie czuje...

...Mówiłem Seturowi o madianickich dziewkach, które należy posłać do obozu Izraela.. Setur pochwalił roztropną radę. Powiada, iż do tego celu najlepsze będą kapłanki Belfegora, gdyż piękne i zaprawione w rozpuście... — Szaleju zjadło to bydlę! — krzyknął. Oślica znienacka zaryła przednimi kopytami w ziemię, mało nie przeleciał jej przez łeb. Myśl, że nadchodzący z tyłu słudzy mogliby to widzieć, powiększyła złość Balaama. Począł okładać zwierzę z całej siły. Przerażona Sahor rzuciła się w bok i przycisnęła pana do muru obcierając mu nogę boleśnie. Tego było nadto. Balaam się wściekł. Gdy zwierzę mimo razów nie ruszyło z miejsca, zeskoczył, podniósł leżący na drodze gruby kij i bił, jak nigdy w życiu nie bił żadnego stworzenia. Bił, jak gdyby chciał przekonać zwierzę, (czy siebie...?), że na drodze przed nimi nie stoi nic, nic... Że to tylko upór oślicy... Kopał ją w brzuch, walił po łbie. Sahor upadła na przednie kolana. Pociła się jak koń. Pot zmył malowane pasy, zdawała się spływać krwią. Zapamiętały w złości Balaam posłyszał nagle, że skatowana woła doń zrozumiałym głosem: Panie! Dlaczego mnie bijesz!? Dlaczego mnie bijesz?! W tym wołaniu była skarga wszystkich zwierząt dręczonych, poniewieranych przez człowieka od początku świata. Pierwszy to raz zostało dane stworzeniu użalić się ludzkim głosem.

Ale Balaama nie wzruszyła skarga. Nadto rozpalił się gniewem, by pojąć niezwykłość zdarzenia, że zwierzę doń gada.

— Biję, bo mnie nie słuchasz! — wrzasnął — zabiłbym cię, gdybym miał miecz! — podniósł kij i... dłoń mu omdlała. Bo w tejże chwili spadła mu zasłona z oczu. Ujrzał zaporę, przed którą stanęła oślica.

Od muru przydrożnego do muru, wyżej niźli palmy, stała kolumna oślepiającej jasności. Słup promienisty sięgający nieba, stopami wsparty o ziemię. Wydało się Balaamowi, że rozróżnia w sercu blasku postać Męża w szatach czerwonych, jak tłoczący w prasie, o wzroku pełnym litości, zdający się powtarzać wołanie oślicy: Dlaczego mnie bijesz? Lecz ledwie dojrzane, zjawisko ginęło przesłonięte blaskiem nie dającej się wyrazić potęgi i mocy. I patrzącego ogarnęła trwoga, jakiej nigdy w życiu nie zaznał. Nie sądził dotąd, iż podobny lęk może przejąć serce ludzkie. Poznał, kogo miał przed sobą. To On, Nienazwany, Niepojęty, Ten, co zbiegłemu kapłanowi, pasącemu owce teścia, ukazał się w gorejącym krzaku! To Ten, co suchą nogą wiódł swój lud przez morze! Pan Światła i Ciemności, Życia i Śmierci, Nieba i Ziemi.... Anioł Jego Oblicza, Dech Jego ucieleśniony stał się Synowi Człowieczemu podobny, aby śmiertelny mógł ujrzeć to, co Nieśmiertelne!...

Leżąc na ziemi z twarzą w pyle obok stękającej oślicy, Balaam zapragnął stać się dymem, prochem, lichym robaczkiem, ukryć się w szczelinie drzewa. Przestał istnieć, nie było go. Pozostał tylko lęk.

Z głębokości lęku Balaam zapytał:

— Co mam czynić, Panie?

— Idź i mów, co ja ci każę.

. . . .

Gdy wieszczek z Pethor odważył się podnieść głowę, zjawisko znikło. Oślica stała z pokornie zwieszonym łbem. Na jej cienkiej skorze wystąpiły wypukłe pręgi od bicia. Z tyłu nadjeżdżali Abgar i Jona, z naprzeciwka zbliżał się otoczony książętami i orszakiem król Moabu, Balak, syn Sefora, witać dostojnego gościa.

Jedni i drudzy stanęli patrząc z osłupieniem na zakurzoną postać proroka, na zbitą oślicę. Abgar odprowadził ją na bok i mrucząc z niezadowoleniem wycierał boki zwierzęcia pękiem trawy. Balaam oprzytomniał nieco i pokłonił się nisko królowi.

— Na wszystkie bogi Moabu! — zawołał tenże — co zaszło synu Beora?!

Balaam zwilżył językiem pełne pyłu wargi, daremnie usiłując wydobyć z nich głos. Podano mu kubek wina, lecz prorok potrząsnął głową odmownie i wyszeptał:

— Zabieżał mi drogę Pan, Bóg Izraela...

Spuścił głowę idąc bez słowa obok króla. Jona podszedł z szacunkiem, by otrzepać odzież i brodę pana, Balaam odsunął go ręką. Król przyglądał się uważnie gościowi, wnioskując, że skoro Bóg izraelski walczył z prorokiem, ale zostawił go żywym, znaczy, że zaklęcia Balaama okazały się odeń silniejsze. Kto wie, może wojska izraelskie cofną się od razu? Może już się cofają?

— Srodze utrudzony zdajesz się być, Balaamie, — rzekł łaskawie. — Wnet przyprowadzą lektykę. Posilisz się i wykąpiesz w pałacu moim, który będzie domem twoim...

— Nie wezmę do ust jadła ni napoju — odparł Balaam schrypłym ze zmęczenia głosem — aż powiem, co muszę powiedzieć... Gdzie jest miejsce, skąd można dojrzeć Izraela?

— Z tego wzgórza Bamoth-Baal widać część obozu. Główne siły przeklętników dojrzysz z góry Fazga i z góry sąsiedniej Fogor. Na wszystkich trzech szczytach są ułożone ołtarze, kapłani czekają mając ze sobą drwa, barany i cielice, z których żadna nie jest cielna, ani nie chodziła w jarzmie. Zbyt uciążliwa to wszakże droga, byś ją dziś odbył, a zresztą wieczór się zbliża...

— Śpieszno mi widzieć Izraela. Prowadź, panie, sługę twego.

— Racz nie sprzeciwiać się, królu — szepnął Balakowi do ucha przełożony jego dworu, Ahiram. — Niech syn Beora idzie, skoro chce. Krew się w nim zapiekła z walki i kląć będzie silnie.

Król uznał słuszność uwagi. Dość spojrzeć na nieprzytomne oczy wieszczka, by poznać, że moc jest w nim.

— Jakie przekleństwo rzucisz wrogom moim? — dopytywał Balak, gdy wąską stromą ścieżką pięli się pod górę a Balaam wbrew przewidywaniom szedł tak szybko, że pozostali ledwo mogli nadążyć.

— To, które każe mi powiedzieć Pan, Bóg mój.

— Rzuć na nich głód i pragnienie, rzuć na nich zarazę, by wyniszczyła ich ciała — doradzał król. — Rzuć na nich paskudne wrzody na goleniach i kolanach, niech ropieją od stopy swojej aż do wierzchu swego. Gdyś przeklinał Amaleka, kazałeś mu być ściśnionym i od strachu zdrętwiałym przez wszystkie dni swoje... Rzekłeś, — i to było dobre przekleństwo — że miasto deszczu spadnie na nich popiół, a miasto rosy szarańcza... Rzuciłeś na niego szaleństwo i ślepotę. Aby macał drogę o południu, jak maca ślepy w ciemnościach i nigdy drogi nie

(Dokończenie na str. 4)

ORĘDZIE
PREZYDENTA R.P.
w 13 rocznicę najazdu na Polskę

Obywatele Rzeczypospolitej,

Od 1-go września 1939 roku Naród Polski ani na chwilę nie przestał walczyć o swą niepodległość. Zmieniły się tylko metody walki. Gdy umilkły działa i ucichł huk nalotów bombowych, Świat Zachodni przypuszczał, iż skończyły się zmagania wrogich sobie sił i że nastała upragniona przez ludzkość era pokoju. Tylko my, Polacy, nie chcieliśmy w to uwierzyć, wiedzieliśmy bowiem, iż wskutek tragicznego splotu wydarzeń historycznych, w obozie demokracji znalazł się Związek Sowiecki, nieubłagany wróg prawdziwej demokracji polegającej przede wszystkim na poszanowaniu indywidualności każdego człowieka. Rozgorzała nowa forma walki, dla której ukuto nazwę wojny zimnej.

Dla Narodu Polskiego wojna ta jest równie ciężka, jak walka z bronią w ręku. W toku jej wróg w Kraju naszym usiłuje wkraść się do wszelkich dziedzin życia narodowego, pod pozorem niesienia rzekomego postępu i dobrobytu. Do rodziny, do szkoły, do wojska wdzierają się obcy ludzie niosący ze sobą obce nam idee przysłonięte polskim mundurem rzekomego patriotyzmu. Ale dziwić się tylko należy, iż ludzie ci wyobrażają sobie, że takimi metodami potrafią przerobić duszę polską, na której wiekowa niewola carska i germańska nie pozostawiła żadnych śladów.

W swej akcji rusyfikacji Moskwa liczy na to, że czas pracuje na jej korzyść. Wśród przywódców dzisiejszej Rosji panuje niezachwiana wiara, że idea komunistyczna, a z nią imperializm rosyjski prędzej czy później zapanują nad światem. Wierzą oni, że system kapitalistyczny niesie w sobie zarodki własnej zguby i że dlatego jego klęska jest tylko kwestią czasu. Do zguby tej gotowi są pomagać wszelkimi sposobami, jakimi rozporządzają, przy ponoszeniu możliwie najmniejszego ryzyka. Toteż wolą oni czekać lub nawet ponosić czasowe niepowodzenia, niż podjąć otwartą walkę. Zapominają jednak władcy moskiewscy, że kapitalizm nie jest niezbędną cechą cywilizacji chrześcijańskiej, z którą walczą. Wolność i szacunek dla człowieka są najważniejszym dogmatem, którego utrzymanie jest zadaniem Zachodu.

Pomimo, że propaganda Kremla stara się zaciemnić tę prawdę, staje się ona coraz jaśniejsza. Tylko tryumf tej prawdy może zapewnić światu stały pokój i szczęście. O tę prawdę od lat trzynastu walczy i nadal walczyć będzie w Imię Boże, Naród Polski.

Londyn, dnia 1 września 1952 r.

AUGUST ZALESKI

ŻYCIE
KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 31 sierpnia 1952.

Kościół i sztuka religijna

Kościołowi katolickiemu nie można zarzucić, że nie wypełnia wezwania Pawłowego: „Głoś naukę, nalegaj w porę czy nie w porę, przekonywaj, proś, karć ze wszelką cierpliwością i nauką" (2 Tym. 4, 2).

Zawsze w ciągu wieków papieże, biskupi, sobory, synody dawali we wszystkich dziedzinach życia wyjaśnienia, pouczenia, wskazania, nakazy, zakazy. Nigdy w Kościele nie brakowało dobrych praw. Wspaniały w swej lapidarności rzymskiej i jasności języka prawniczego, a zarazem będący syntezą prawniczej myśli ludzkości jest obecnie obowiązujący Kodeks Prawa Kanonicznego. Jako katolicy możemy być dumni z tego kodeksu. Jak św. Tomasz dał Kościołowi i światu nieśmiertelną Sumę Teologiczną, tak uczeni prawnicy kościelni dali w XX wieku Kościołowi i światu Sumę Prawniczą: Kodeks Prawa Kanonicznego.

W tejże Sumie Prawniczej są także wyczerpujące przepisy, jakie obowiązywać powinny artystów i sztukę w kościołach, które są miejscami oddawania czci Bogu i oazami skupienia modlitewnego na pustyni życia. Chociaż przepisy te obowiązują od 19 maja 1918 r. (a więc od 34 lat) i chociaż w istocie swej nie różnią się od przepisów obowiązujących i przedtem, to jednak sztuka ostatniego półwiecza w swoich aberacjach i przejawach zboczeń ideowych zaczęła „w sposób hałaśliwy dobijać się do drzwi kościołów". Niejedne utwory pędzla i dłuta, które były „bluźnierstwami obrazkowymi" („bestemmie pittoriche" — „Arte Christiana" z grudnia 1951 r.), dostały się do kościołów. Pisze arcybiskup Celso Costantini („Osservatore Romano" z 23 lipca 1952): „Żyjemy w całkowitej wieży Babel artyzmu. Dlatego dusze religijne i szlachetni artyści od pewnego czasu domagali się interwencji Stolicy Apostolskiej dla zahamowania ofensywy artystycznej przeciwko kultowi katolickiemu. Herezja VIII wieku i herezja protestantów zwalczały kult świętych obrazów. Dziś nie zaprzecza się kultu, lecz zniekształca się go i degraduje, czyniąc same obrazy odpychającymi. Miejsce aspektu negatywnego zastąpiła pozytywna zniewaga."

Oczekiwana chwila nadeszła. Św. Kongregacja św. Oficjum, do której należy troska o czystość wiary i której prefektem jest sam Papież, wydała pod datą 30 czerwca 1952 r. Instrukcję do biskupów ordynariuszów „O sztuce świętej" (Instructio Ad Locorum Ordinarios „De Arte Sacra"). „Osservatore Romano" wydrukował ją 20 lipca w tekście łacińskim i tłumaczeniu włoskim, a od 23 lipca zaczął drukować cykl artykułów znawcy sztuki religijnej arcybiskupa tyt. Teodozji, sekretarza św. Kongregacji „De Propaganda Fide", autora wielu dzieł z zakresu sztuki, m. i. „Krucyfiks w sztuce", „Bóg ukryty w wierze i sztuce", a wspólnie z Giovanni Constantini „Wiara i sztuka, podręcznik dla artystów" i „Athena" (podręcznik historii sztuki dla szkół włoskich).

Jaka jest treść instrukcji „O sztuce świętej"?

Instrukcja ustala przede wszystkim, co jest zadaniem i obowiązkiem Sacrae Artis, sztuki świętej, pisząc: „Zadaniem i obowiązkiem sztuki świętej, na mocy samej nazwy, jest przyczynianie się w sposób jak najlepszy do ozdoby domu Bożego i ożywianie wiary i pobożności tych, którzy gromadzą się w świątyni, azeby brać udział w służbie Bożej i zanosić prośby o dary niebieskie; i dlatego sztukę świętą Kościół otaczał zawsze stałą i czujną opieką, by odpowiadała całkowicie jego prawom, które wywodzą się z objawionej nauki i zdrowej ascezy, a przez to mogła jak najsłuszniej przyozdobić się tytułem świętej".

Następnie instrukcja przypomina troskę o świętość sztuki II Soboru nicejskiego, Soboru trydenckiego, papieży Urbana VIII, błog. Piusa X, Piusa XI i Piusa XII oraz wymienia kanony Kodeksu Prawa Kanonicznego dotyczące sztuki (kanony 485, 1161, 1162, 1164, 1178, 1261, 1268, 1269 §1, 1279, 1280, 1385, 1399).

„Obecnie także — pisze instrukcja — Stolica Apostolska potępia zboczenia i wynaturzenia sztuki świętej i nie mają żadnego znaczenia obiekcje tych, którzy utrzymują, że sztuka święta powinna się dostosować do konieczności i warunków nowych czasów. Albowiem sztuka święta, która powstała wraz ze społecznością chrześcijańską, ma własne cele i nie może nigdy zboczyć od nich i własne zadanie i nie może nigdy go zaniedbać." Znamienne są pod tym względem przytoczone przez instrukcję słowa Piusa XI z jego przemówienia 27 października 1932 r. i Piusa XII z encykliki „O świętej liturgii" z 20 listopada 1947 r.

Biorąc to wszystko pod uwagę św. Kongregacja św. Oficjum uznała za konieczne przypomnieć następujące normy:

1) „Architektura święta, chociaż przyjmuje nowe formy, nie może w żaden sposób upodabniać się do budowli świeckich, lecz powinna zawsze pełnić swoje właściwe zadanie wznoszenia domu Bożego i domu modlitwy." Mówią o tym kanony 1162 par. 1, 1164 par. 1, 1268 par. 2 i 1269 par. 1.

2) Odnośnie rzeźby i malarstwa postanawia kanon 1279, że nikomu nie wolno bez uprzedniej zgody ordynariusza umieszczać w jakichkolwiek kościołach i miejscach świętych obrazów niezwykłych w formie (insolita imago). Ordynariusz nie może nigdy pozwolić na umieszczanie obrazów niezgodnych ze zwyczajem przyjętym w Kościele ani obrazów, które są wyrazem błędnej nauki, lub obrażają poczucie wstydliwości, lub mogą stać się u ludzi niewykształconych przyczyną niebezpiecznych błędów. Jeżeli w komisji biskupiej dla sztuki brak jest odpowiednich ekspertów lub powstaną wątpliwości czy niezgodność opinii, wówczas ordynariusz winien odwołać się do komisji metropolitalnej lub do Rzymu. Zgodnie z kanonami 485 i 1178 ordynariusz nakaże usunięcie z budynków świętych tego wszystkiego, co sprzeciwia się świętości miejsca i poszanowaniu należnemu domowi Bożemu; stosownie zaś do postanowień kanonów 1385 i 1399, 12-o odmówi zezwolenia na druk książek i pism, w których były drukowane obrazy niezgodne ze sposobem myślenia Kościoła i jego dekretami (imagines ab Ecclesiae sensu et decretis alienae).

3) Do diecezjalnej komisji dla sztuki świętej winny wchodzić osoby, które nie tylko wyróżniają się kompetencją w zakresie sztuki, ale są głębokimi wyznawcami wiary chrześcijańskiej, oddani pobożności i całkowicie doceniają dyrektywy Stolicy Apostolskiej w zakresie sztuki świętej.

4) Prace w zakresie malarstwa, rzeźby i architektury kościelnej powinny być powierzane osobom, które przewyższają innych znawstwem sztuki i uzdolnieniem i potrafią w dziełach swoich dać wyraz szczerej wiary i prawdziwej pobożności, bo to jest właściwym celem sztuki świętej.

5) Kandydaci do stanu kapłańskiego mają kształcić się także w odpowiedniej znajomości sztuki świętej. (J)

ZAPISKI LONDYŃSKIE

ŚWIĘTO KULTURY WALIJSKIEJ

Co rok w lecie odbywa się w którymś z miast walijskich tzw. Eisteddfod, to jest kongres, a zarazem popis życia kulturalnego Walijczyków, którzy trwają przy swym języku i tradycjach odrębności kulturalnej. Na zjazdach tych wygłaszane są referaty i rozdawane nagrody za wybitne dzieła literackie, odbywają się także popisy chórów, przedstawienia i inne imprezy tego typu.

Tegoroczny Eisteddfod odbył się w Aberystwych. Poza tłumami mieszkańców Walii wzięli w nim również udział delegaci społeczności walijskich w różnych krajach zagranicznych, przede wszystkim ze Stanów Zjednoczonych i dominiów brytyjskich: Kanady, Australii, Nowej Zelandii; znaleźli się nawet przybysze z Nigerii i Egiptu. Wielu z tych delegatów poprzyjeżdżało ze swymi rodzinami i dziećmi. Przywódcą emigrantów, przybyłych na zjazd tegoroczny, był prof. John Hughes z uniwersytetu McGilla w Montrealu w Kanadzie.

Przybyli też na zjazd przedstawiciele „kuzynów" celtyckich: Kornwalijczyków i Bretonów francuskich. Bretonowie pojawili się w swych barwnych kostiumach ludowych; byli wśród nich gęślarze i tancerze. Czołowi dygnitarze zgromadzeń narodowych kornwalijskiego i bretońskiego przybrani byli w tradycyjne, malownicze szaty z wieńcami na głowach.

Otwierając zjazd znany działacz walijski dr W. J. Gruffydd podkreślił z dumą, że ruch kulturalny walijski wyszedł z ram lokalnych czy sekciarskich i przybrał charakter ogólno-narodowy. Z niepokojem natomiast mówił dr Gruffydd o upadku życia religijnego w Walii, kościołów i kaplic. Nasuwa się tu uwaga, że katolicyzm irlandzki okazał się znacznie trwalszą podstawą życia narodowego, niż protestantyzm walijski.

Ciekawe dane o obecnym stanie rozpowszechniania języka walijskiego podał jeden z dalszych mówców, prof. R. J. Aaron. Przeprowadzona została niedawno statystyka językowa wśród dzieci szkolnych w Walii. Wykazała ona, że w całym kraju, łącznie z Monmouthshire i Glamorgan, dzieci mówiące po walijsku stanowią dziś jedną piątą wszystkich uczniów. Jeśli się natomiast odliczy te dwa hrabstwa, z ich ciągle się zmieniającą ludnością przemysłową, to w reszcie kraju dzieci mówiące po walijsku stanowiły połowę ogółu uczniów. W pięciu hrabstwach: Anglesey, Caernarvon, Merioneth, Cardigan i Carmarthen, odsetek dzieci mówiących po walijsku wynosi nawet 80 proc. Na ogół stwierdzić można, że język walijski zachowuje mniej więcej swój stan posiadania z wyjątkiem przemysłowego południa kraju, gdzie się gwałtownie cofa.

Na zjeździe, jak corocznie, nastąpiło uroczyste rozdanie nagród za najlepsze utwory prozaiczne i poetyckie. M. in. znany pisarz walijski, p. Owen Elias Roberts dostał niedawno ustanowiony złoty medal za zbiór essayów naukowych.

Dalekiej bardzo tradycji celtyckiej sięgał wybór „arcydruida" walijskiego. Tak zwany „Herald Bard" Erfyl Fychan ogłosił uroczyście, że dotychczasowy „arcydruid" Cynan został ponownie powołany do tej godności na przeciąg dalszego roku. Do zebranych przemówił jeden z poprzednich „arcydruidów" Elfed, staruszek liczący dziś 93 lata. „Arcydruidzi" zwrócili się potem do gęślarzy bretońskich, by ci zagrali na cześć nowego nagrodzonego poematu, którego autorem jest nauczyciel, p. John Evans.

MIĘDZYNARODOWY KONGRES DENTYSTÓW

W Londynie odbył się świeżo międzynarodowy kongres dentystów, w którym wzięło udział 4.000 przedstawicieli tego zawodu z 61 różnych krajów. Był to największy z dotychczasowych kongresów dentystycznych. Głównym przedmiotem obrad była walka z próchnicą zębów i ropniakami — owiema chorobami, które do tej pory są szczególnie rozpowszechnione i to zwłaszcza wśród cywilizowanych społeczeństw.

Dentystyka w naukowym znaczeniu tego słowa jest wiedzą stosunkowo młodą; wynurzyła się ona niedawno dopiero z okresu, kiedy jedyną formą kuracji zepsutego zęba było jego wyrwanie.

„WIDZĘ GO!"

(Dokończenie ze str. 3)

znalazł... Bardzo dobre przekleństwo! Amalek uląkł się twego złorzeczenia i odstąpił. Powiedz to samo dziś Izraelowi...

Balaam nie odpowiedział nic. Szedł prędko i dyszał.

— Stąpaj wolniej — hamował go król, który choć czerstwy, sapał również. — Zmęczony, nie dobędziesz donośnego głosu, by należycie przeklinać...

— Muszę śpieszyć, albowiem pędzi mnie Pan, Bóg mój.

Weszli na szczyt. Balaam nie spojrzał na ołtarz ani na kapłanów gotujących się do złożenia ofiar. Nie spojrzał na rozległy widok ujawniający okoliczne wzgórza, wielki szczyt Nebo, górujący nad całym pasmem Abarim, prześliczną dolinę Jerycha, w oddali martwemu turkusowi podobną płytę Słonego Jeziora. Stanął tuż nad urwiskiem wpatrzony w czerniejące u stóp góry namioty.

— Przeklinaj ich! Przeklinaj! — naglił niecierpliwie król. Żółć w nim wezbrała gorzkością na widok nieprzyjaciela, obozującego spokojnie pośród jego ziem.

— Wezwałeś mnie z daleka, Balaku, synu Sefora — zaczął Balaam silnym, jakby cudzym głosem — wezwałeś, mówiąc: śpiesz się a przeklinaj! Jakoż mam przeklinać tego, którego Pan nie przeklina? Jakoż mam złorzeczyć, któremu nie złorzeczy Bóg? Z wysokiej skały oglądam go i przeliczyć nie mogę pokoleń jego... Niech dusza moja umrze śmiercią sprawiedliwych i niech koniec mój będzie końcowi ich podobny!

Zaniemówili wszyscy ze zdumienia. Król szarpał brodę.

— Co to za mowa, którąś rzekł, Balaamie? Nie przekleństwu podobna, lecz błogosławieństwu? Odwołaj to, coś powiedział!

— Poprowadź mnie na drugi szczyt, z którego mogę widzieć Izraela.

— Powiodę, jeśli będziesz klął twardą mową, nie tak jak to uczyniłeś. Chcę, byś tak mówił, Balaamie: Przeklęty jest Izrael w mieście i na polu, w nocy i w dzień. Przeklęty owoc żywota niewiast jego i owoc ziemi jego. Przeklęty będzie wchodząc i wychodząc, rodząc się i umierając. Nigdy nie będzie głową, zawsze ogonem. Jedną drogą wejdzie, siedmiu drogami ucieknie. Trup jego zgnije na polu i sępy go pożrą. Słyszysz, co kładę w uszy twoje, Balaamie?

Balaam nic nie odpowiadał, jakby nie słyszał nalegań królewskich. Dopiero gdy przyszli na szczyt Fazga (a słońce już zeszło nisko i góry płonęły czerwienią) odwrócił się i potężnie wołał.

— Wstrzymaj się, synu Sefora! Nie jest Bóg jako człowiek, aby kłamał, ani jako niewiasta, żeby się odmieniał. Ku błogosławieństwu przywiedziony jestem. błogosławieństwa zatrzymać nie mogę. Bóg jest z Izraelem a trąbienie zwycięstwa królewskiego w nim. Moc jego równa bawolej. Lud ten jako lwica powstanie, a jako lew się podniesie...

Milcz! Milcz — krzyczał z gniewem król. — Ani błogosław ani przeklinaj! Milcz!

— Azam ci nie rzekł, że co mi Bóg rozkaże, muszę powiedzieć? Prowadź mnie na trzecie wzgórze.

— Wolejbym cię strącił ze skały! Bodaj cię był demon na drodze zadławił!

Nie czekając na króla, Balaam pobiegł sam stromą przełęczą. Siny ze złości Balak podążył za nim. Kapłani widząc nadchodzących, zabili sprawnie zwierzęta ofiarne, polali żywicą, podpalili. Dym wzniósł się w górę. Znów nie spojrzawszy w ich stronę, Balaam poszedł tuż nad krawędź i wbił się wzrokiem w obóz widny w dole. Czarne punkciki namiotów złocone słońcem zdały mu się wielkie, rosnące w kopuły i wieże świątynne, górujące nad światem. Wzniósł ramiona podejmując opowieść swą po raz trzeci:

— O, jak piękne przybytki twoje, Izraelu! — wołał. — Jako niziny gaiste sady przy rzekach wilgotne. Jako cedry wyrosły namioty, które postawił Pan... Kto ci będzie błogosławił, sam będzie błogosławiony, a kto by ciebie przeklinał, przekleństwo wróci ku niemu!

— Zamilcz wreszcie! — Król szarpał z wściekłością zapylony płaszcz Balaama. — Kazałem ci milczeć! Po coś tutaj przybył? Odejdź stąd, bo się martwym obaczysz! Obiecałem uczcić cię znamienicie, lecz sam pozbawiłeś się czci! Precz z oczu moich, abym nie zapomniał, że miałeś być gościem moim!

— To opętany — mruknął Ahiman. — Demon mówi przez jego usta...

Balaam obrócił się ku mówiącemu.

— Nie opętał mnie demon — zapewnił. — Com rzekł, powiadam ja, syn Beora, mąż, co oczy miał zatkane, ale przewidział, słuchacz, który mowę Najwyższego poznał, co upadając miał oczy otwarte i widzenie Wszechmocnego zobaczył.

Patrząc w kurzawę słoneczną wspomniał zjawisko na drodze i lico Męża Boleści pojawiające się w tumanie blasku. Uniesiony zakrzyknął donośnie:

— Widzę Go, ale nie teraz. Oglądam, ale nie z bliska. Wznijdzie gwiazda z Jakuba i powstanie laska z Izraela i zapanuje nad światem. Pomrą królowie Moabu, wyginą synowie Seta, runie Idumea, dziedzictwo Seiru przypadnie nieprzyjaciołom, lecz On pozostanie na wieki!

Umilkł zasłuchany w echo odbite od gór. Obejrzał się: był sam. Król, jego orszak, książęta, kapłani poniechali go nie mogąc ścierpieć podobnych mów. Balaam odetchnął z ulgą, głęboko, jak człowiek, który wykonał należycie niełatwe zlecenie — i zaczął schodzić również. Nogi uginały się pod nim z wysiłku. Góry jeszcze stały w blasku, lecz dolinę zaległ mrok. W gęstniejącym zmierzchu odnalazł na drodze Abgara i Jonę z osłami. Opodal wsparty o klęczącego wielbłąda czekał Efraim, syn Fadassura. Ujrzawszy Balaama, pokłonił mu się nisko, bez śladu zwykłego drwiącego uśmiechu.

— Król odjechał bardzo zagniewany — ja zaś czekałem, by cię zapytać, synu Beora, w czym sługa twój mógłby ci być pomocny?

— Mniemam, że w niczym — odparł Balaam zaskoczony. — Wracam, nie zwlekając do Pethor.

— Racz mi wybaczyć, Balaamie, krzywdziłem cię sądem złym. Myślałem, że jesteś fałszywym prorokiem, obłudnym jak wszyscy kapłani...

— Sąd miałeś słuszny, synu Fadassura. Byłem fałszywym prorokiem, dopiero teraz przejrzałem... Bądź zdrów!

— Pamiętaj, synu Beora, żem przyjacielem twoim, gotowym zawsze pośpieszyć z pomocą. Gdyż ja mniemam, — dodał sadowiąc się na wielbłądzie — że prawdziwemu prorokowi pomocy zawsze potrzeba... Niech dni twoje płyną w spokoju, Balaamie!

— Twoje również, Efraimie!

Abgar podprowadził panu oślicę. Obaj słudzy mieli twarze skwaszone. Nic podobnego dotąd się nie zdarzyło: król poniechał ich pana na drodze. Nie pojadą do pałacu, nie będzie uczty ani darów, co za upokorzenie!

— Przy jerychońskiej drodze jest gospoda, do której można dojechać, zanim noc zapadnie — objaśnił Abgar.

— Jedźmy do tej gospody — przystał Balaam. Było mu obojętne, gdzie pojadą. Miał świadomość, że życie jego jest skończone, a dni, jakie by mu jeszcze pozostały, nieważne. Wypełnił to, co do niego należało. Późno wprawdzie, lecz wypełnił. Po to narodził się i żył długi wiek, by wyrzec słowa, które padły kolejno na wzgórzu Balmoth Baal, na wzgórzu Fasga i na wzgórzu Fegor. Wszystko, do czego przywiązał wielką wagę, jego mądrość, jego wiedza, jego sława, majątek były próchnem bez wartości, tylko te słowa miały znaczenie. Wszystko, cokolwiek kiedy mówił, okazywało się kłamstwem, tylko te słowa były prawdziwe. Kości jego dawno rozsypią się w proch, ale te słowa zostaną.

Poklepał szyję oślicy i poczuwszy pod ręką pręgę od uderzenia, zawstydził się.

— Zawdzięczam ci życie, Sahor, pokorne bydlątko — rzekł do starej towarzyszki. — Gdyby nie ty, szedłbym ślepy naprzeciw Pana i zginął od zetknięcia z Nim, jak ginie człowiek, który się spotkał z piorunem. Błogosławię ciebie, najcierpliwsza z podjarzemnych! Oby Pan również zechciał pobłogosławić cię i wyróżnić!

Skręcił na drogę zwaną jerychońską, gdyż prowadziła ku rzece i miastu. Oślica przystanęła. Balaam pomyślał, że przemówi znowu ludzkim głosem i poczuł strach. Lecz ona, ugiąwszy kopyto, jęła skubać kępę przydrożnej trawy.

Zofia Kossak

Do służby pod sztandarem Maryi!

Polscy księża marianie z Lower Bullingham - Hereford, rozwijają na ziemi angielskiej pracę duszpasterską i wychowawczą.

Do Zgromadzenia wstąpić mogą mężczyźni w sile wieku i młodzieńcy po 15 roku życia (za zezwoleniem rodziców).

Na kapłanów — wymagana jest matura ośmio-klasowa lub licealna; dostateczne zdrowie i dobre zdolności, świadectwo ks. proboszcza i szczera chęć służenia Panu Bogu przez Matkę Najświętszą.

Na braci laików — wiek do lat 40, fach, zdrowie, szczera intencja, świadectwo ks. proboszcza.

Zgłaszać się można pod adresem: KS. SUPERIOR KSIĘŻY MARIANÓW, LOWER BULLINGHAM, HEREFORD.

WŚRÓD KSIĄŻEK I CZASOPISM

KAPLICA DZIEŁEM MATISSE'A. Wśród wzgórz, rozciągających się między Cannes a Niceą na Riwierze francuskiej, zbudowana została niedawno niezwykła kaplica, — niezwykła dzięki osobie swego twórcy, którym jest 83-letni „modernistyczny" malarz francuski Matisse. Wykonał on plany tej kaplicy dla sióstr dominikańskich z Vence bez żadnej zapłaty, z tym, że zakon sam musiał się postarać o fundusze na budowę.

Rzecz wywołała o tyle sensację, że Matisse uchodził za ateistę i sympatyka komunizmu. Zapytana o to przełożona zakonu kategorycznie temu zaprzeczyła. „Matisse nie jest ateistą — stwierdziła wobec dziennikarzy. — Jest on wierzącym katolikiem. Tylko katolik zdolny był stworzyć tę kaplicę".

Sam Matisse miał się wyrazić, że „ta kaplica jest dla niego kwiatem całego życia prac i wysiłków".

Niestety, międzynarodowa rzesza turystów i letników, zalewająca Riwierę, traktuje całą sprawę z punktu widzenia taniej sensacji. Przychodzą do kaplicy zachowując się hałaśliwie i wulgarnie; były wypadki, że do środka wchodziły panie w kostiumach kąpielowych. Spowodowało to ostre zarządzenia porządkowe i kaplicę wolno obecnie zwiedzać tylko we wtorki i czwartki, i to niedłużej niż w ciągu dwóch godzin. Przy wejściu umieszczono rozporządzenie arcybiskupa Nicei Remonda, zakazujące wchodzenia do środka osobom nieodpowiednio ubranym i niewłaściwie się zachowującym, czym objęta jest także głośna rozmowa.

Rozporządzenia tego rodzaju znajdują się zresztą u wejścia do wielu kościołów w południowej Francji, a częściej jeszcze we Włoszech. Zwrot o „odpowiednim ubraniu" dotyczy nie tylko kobiet, ale także i mężczyzn, którym nie wolno wchodzić do kościołów w koszulach z krótkimi rękawami.

BATALIA O ORTOGRAFIĘ FRANCUSKĄ. Projekt reformy ortografii francuskiej, opracowany przez komisję Rady Najwyższej Wychowania Narodowego, wywołał, jak można się było spodziewać, gwałtowne protesty. Przeciw temu tworowi urzędników podnieśli się przede wszystkim pisarze.

„Figaro Littéraire" drukuje m.i. oświadczenia w tej sprawie Claudela i Colette. Claudel jest stanowczo przeciwny proponowanym zmianom. Pyta on: gdzie się zatrzymamy, jeśli wejdziemy na tę drogę? Sama logika będzie popychała do coraz dalszych zmian, a przecież „my we Francji aż za dobrze znamy zło, jakie może wyrządzić logika!".

Stabilizacja jest wielkim dobrodziejstwem języka — argumentuje dalej Claudel. — Język francuski zażywa jej od trzech stuleci. Mówi się o praktycznych koniecznościach reformy, ale jakże w takim razie wyjaśnić, że Anglicy od dawna już nie przystąpili do tego? „W porównaniu z ich ekstrawagancką fantazją graficzną, czego przykładem jest litera „i", wymawiana na pięć czy sześć różnych sposobów, czymże jest nasza skromna ekscentryczność?... Cóż można także zarzucić naszej gramatyce w zestawieniu z gramatyką niemiecką i krajów słowiańskich, do której mimo wszystko setki milionów ludzi dosyć dobrze, jak się zdaje, umieją się przystosować?"

Colette zaprotestowała przeciw proponowanym zmianom w sposób gwałtowny i namiętny. „Nie, nie, nie! — oświadczyła. — Pragnę ortografii malowniczej i nastroszonej (hérissée): jest to dla mnie krajobraz. Nie tylko nie należy niczego usuwać, ale powinno się przywrócić... przywrócić różne spółgłoski... różne „y", „h" i wszelki rodzaj przesady".

Ze swej strony „Figaro Littéraire" podkreśla, że reformatorzy w swym zapale zapomnieli zupełnie o Akademii Francuskiej, która od dawna jest zwierzchnią władzą nad uniwersytetami w zakresie języka i gramatyki. Od wieku XVII „Dictionnaire de l'Académie" ustalał pisownię słów i reguły ortograficzne. Słownik też nie był wcale niezmienny; sam wprowadzał niekiedy reformy. Tak np. w r. 1740 Akademia usunęła spółgłoski nieme w słowach „advocat", „aspre", „eschole"; w r. 1762 wprowadziła „i" zamiast „y" w słowach „roy", „celuy", „essay"; w r. 1835 porzuciła pisownię; „françois", „venoit" na rzecz „français", „venait", i td.

Cała burza wywołana ogłoszeniem projektu reformy, o tyle natrafia na próżnię, że sama Rada Wychowania Narodowego po wysłuchaniu „exposé" p. Edmunda Faral z Collège de France postanowiła odłożyć projekt reformy ortografii do chwili „bardziej sposobnej". W uzasadnieniu tej decyzji, Rada — podobnie jak Claudel — powołuje się na fakt, że „obce kraje nie weszły na tę drogę w stosunku do własnych pisowni".

„TRZECH WIELKICH IRLANDCZYKÓW". Arland Ussher, zdolny irlandzki krytyk literacki, ogłosił książkę pt. „Three Great Irishmen: Shaw, Yeats, Joyce" (Gollancz, cena 12/6). W książce tej charakteryzuje duchowe związki, łączące tych trzech wybitnych pisarzy z ich krajem ojczystym. Jak można się spodziewać, dochodzi do wniosku, że Joyce jest jedynym wielkim twórcą, którego wydała katolicka i celtycka większość ludności Irlandii. Nie znaczy to wcale, by Ussher bezkrytycznie wychwalał Joyce'a lub był niesprawiedliwy wobec Shawa i Yeatsa którzy wyszli z protestanckich rodzin Irlandii: przeciwnie, uwydatnia w interesujący sposób walory ich twórczości.

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: Veritas Foundation Centre. Adres redakcji i administracji: Polish Weekly, ŻYCIE, 12 Praed Mews, London W.2. Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17; z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja żadnych rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna jest z góry i wynosi: miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty przekazywać należy Postal lub Money orderami, względnie czekami bankowymi „c r o s s e d" (//). wystawionych na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ 1 cal przez 1 łam — £1, w tekście 50 proc. drożej, na stronie tytułowej 100 proc. drożej. Prenumerata zagraniczna: ARGENTYNA: cena 1 egz. — 2 pesos, kwartalnie 26 pesos, półrocznie 52 pesos. Przedstawicielstwo „Libreria Polaca", Av. Leandro N. Alem 641 — Buenos Aires. BELGIA: miesięcznie 30 frs., kwartalnie 80 frs. Przedstawiciel: E. Kulakowski, 101, Augusta Lambiotte, Bruxelles 3. — FRANCJA: miesięcznie 180 frs., kwartalnie 540 frs. Przedstawicielstwo „Libella" Librairie 12, rue St. Louis en l'Ile, Paris IV. — NIEMCY: miesięcznie 250 DM., Przedstawicielstwo mają „Informacja Prasowa", (23) Quakenbrück, Shiphhorst 2. i St. Mikiciuk (13 B) München 54, Seehamerstr, 4, Bar. 16 B/2. — SZWAJCARIA: kwartalnie 3.50 frs. Przedstawicielstwo: P.K.S.U. Veritas, Section Suisse, Case Postale 19, Fribourg 2. — SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwartalnie 10.00 kr. Przedstawiciel: B. Kurowski Anggatan 6c. Lund. Sverige. Sweden. — U.S.A.: — kwartalnie pocztą zwykłą 2$., pocztą lotniczą 5$. Przedstawiciele: 1) Antoni Stojanowski, 10, East 18th Street, Bayonne, N.J. 2) Gryf Publication, 808, Wager St. Utica, 3) E. Bagiński, 3690 Helen Avenue, Detroit 7, Michigan, 4) St. Palczewski, 1079 N. Marshfield, Chicago 33, Illinois.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PAD 9734